Rok IX. Za sierpień i wrzesień 1920. Zeszyt 8. i 9.

MIESIĘCZNIK KATECHETYCZNY i WYCHOWAWCZY.

Treść.

Str.

Adres redakcji i administracji:
Lwów, ul. Sykstuska l. 64.

LWÓW — 1920.
DRUKARNIA UDZIAŁOWA, LWÓW, KOPERNIKA 20.

Przegląd Teologiczny

Kwartalnik naukowy

Rok I. **Zeszyt 2.**

zawiera

X. Dr. Wais. Spirytyzm;

Dr. W. Bruchnalski „Najstarsze kazanie polityczne w Polsce".

X. Dr. Szcz. Szydelski. Proroctwo Daniela z czasów Darjusza II.?

X. Dr. A. Macko. Teologja w „Dziadach" (C. d.).

Recenzje i sprawozdania. Bibljografia teologji polskiej. Kronika.

Adres Red. i Adm. Lwów, Plac Benedyktyński 2.

Prenumerata roczna wynosi 35 Mk.

Na straży świętego ognia.

U północno-zachodnich stoków wzgórza Palatyńskiego, owej kolebki państwa, którą legenda podaniowa przystroiła w cudowne zawiązki narodu rzymskiego, rozścieliły się przybytki prastarego kultu Westy. Był tu niegdyś święty gaj, w którego okręgu stanęła świątynia z obsługą kapłanek pod bezpośredniem okiem króla, którego z czasem zastąpił Pontifex Maximus, urzędujący w dawnej regia, która tę nazwę i po upadku królestwa zachowała. Na wschodnim brzegu gaju zamieszkały dziewice służbie bogini oddane. Prostotą tchnęło tu wszystko w czasie, kiedy area późniejszego forum i najbliższego otoczenia była jeszcze bagnistą doliną przerzniętą dzikim potokiem, który leniwe wody odprowadzał do Tybru i czekał na techniczne ujęcie etruskich inżynierów w zasklepione koryto (Cloaca maxima), która dotąd spełnia swe zadanie. Okrągła świątynia przypominała kształtem staroitalską chatę, którą przekazały urny jako mieszkania pośmiertne. Nie odbiegał od niej zapewne i pałac króla, później lokal urzędowy arcykapłana, jak i mieszkanie westalek. Cały ten „Locus Vestae“, jak go Ovidius nazywa, przybrał wygląd inny, w miarę jak dzieje Rzymu potoczyły się w swoim rozwoju ku szczytom potęgi, którą okrył przepych i zbytek, czasom pierwotnym nieznany. Świątynia zamieniła się w grecki tholos z sklepieniem otwartem, regia w lokal godny stanowiska kollegium, które dzierżyło w ręku naczelną władzę sakralną, dom kapłanek Westy zajął całą przestrzeń dawnego gaju jako zamknięty kompleks ubikacyi urzędowych, gospodarczych i mieszkaniowych. Częste pożary, które nawiedzały Rzym, dawały sposobność do nowych, coraz wspanialszych budowli, które oryentowano stosownie do nowych planów terenowych, przyczem jednak cała dzielnica, objęta z północy przez via sacra, z południa od Palatynu przez via nova, od wschodu przez vicus Vestalis, od zachodu przez krawędź forum, zachowała zawsze swoją odrębność.

O początki tych rozsiedleń potrącało romantyczne tchnienie pisarzy augustowskich, o kolejnych zmianach

wspominały często skąpe zresztą zapiski literackie. Od roku 1882, t. j. od dokonanych tu za ministerstwa G. Baccellego wykopalisk ustaliły się i rozszerzyły nasze wiadomości nie tylko co do topografii tej dzielnicy, ale co do życia, jakie ją wypełniało przed wiekami. Po zaryciu się rydla pod nasypisko miejscami 25-metrowe odsłoniło się niveau epoki cesarskiej z resztkami gruzów, które uwidoczniają plan sytuacyjny, a fragmentami architektonicznymi pozwalają odtworzyć w przybliżeniu stan ówczesny. Materyał napisowy i skulpturalny ożywił te ruiny, którym dalsze odkrycia pogłębionych wykopalisk Boniego po r. 1898 przyszły z pomocą w zrekonstruowaniu historyi forum i jego zabytków wstecz nawet aż po czasy królewskie. — Uwagę całego świata ściągnęły prace odkrywcze na obszarze państwowego kultu Westy. Od roku 394, kiedy Teodozyusz położył mu kres, milknie słuch o samej świątyni. Odezwie się jeszcze tylko w Memorabiliach jako osobliwość, kryjąca pod sobą smoka. Regia i Atrium mieściły biura urzędników cesarskich, następnie papieskich a później podzieliły los innych budowli, z któremi czas, rabunki, opuszczenie najludniejsze niegdyś centra zamieniły w pustkowie, do którego jakby w ironii dziejowej przylgnęła nazwa Campo Vaccino. Po rozgwarze życia, które tu wiekami falowało, a jak przypomninał słup dymu wzbijający się dniem i nocą, nigdy nie miało się kończyć, po tylu wspaniałych pompach i tryumfalnych pochodach cmentarna cisza! Dumne w przeszłości miejsca stały się postojem dla bydła Kampanii, które pod kolumnami świątyni Kastora pojono w granitowej muszli, wchodzącej dziś w skład fontanny na Piazza di Monte Cavallo. Co z architektury lub marmurów sterczało nad ziemią, szło w wzmożonym za Odrodzenia ruchu budowlanym pod nowe pałace lub do pieca palnego na wapno. W poszukiwaniu za materyałem zapuszczano się i pod ziemię. To był pierwszy impuls wykopaliskowy. Nie wnet przyłączył się doń i drugi, naukowy, bo choć zwrot ku starożytności otoczył te pomniki pewnym nimbem, długo nie wstrzymywało to od nich zagłady. Na powitanie Karola V w r. 1536 nie wahał się Paweł III. dla zbudowania via triumphalis od Łuku Tytusa do Łuku Septimiusa Severa splanować całej tej przestrzeni kosztem osiadłych tu domostw i wychylających się pomników. Jak dalece nie zdawano sobie sprawy, po jakim stąpano terenie, świadczy spór Marlianiego i Ligoria w 16 wieku o to, gdzie szukać forum. Wiek 17. i 18. stał pod

urokiem dyletanckiej hipotezy Ligoria, która szukała forum między zachodnią stroną Palatynu a przeciwległą stroną Kapitolu a w świątyniach forum widziała pomniki zdobiące via sacra. U Goethego głucho o forum, choć wzrokiem rozpoetyzowanym z Kapitolu wodził po dolinie między palazzo del Senatore a Kolosseum wzdłuż długiej alei wiązów, jako szła kierunkiem owej via triumphalis Karola V. Dopiero wiekowi 19. przyszło rozwiązać zagadkę, którą poprzednim wiekom narzucił dyletantyzm Ligoria.

Gdy takie losy zawisły nad forum, nie mogły i te miejsca, które nas bliżej zajmują, wyzwolić się z pod fatalności, ciążącej nad zabytkami. Cóż dziwnego, że z regia, świątyni Westy i domu westalek zachowały się tylko tylko zarysy fundamentów i kupa gruzów! Ale oko archeologa i w te resztki umie się wczytać i wywołać życie, jakie tu niegdyś było. Dzisiejsze pole ruin przenosi go w czasy Septimiusa Severa, kiedy staraniem Julii Domny po pożarze r. 191 dokonała się tu odbudowa. Badanie szczegółów i głębszych uwarstwowień terenu pozwala sięgnąć i w odleglejsze epoki. Gruntowna przebudowa starej regia w ślad za rozszerzeniem się archiwum państwowego i agend pontyfików, oparcie podwalin i budowy świątyni o wzory greckie, rozrost mieszkania Westalek do wymiarów obszernego obejścia ustronnego pod Palatynem — to fakta zdobyte wykopaliskami ostatnich dziesiątek lat.

Nie odrazu one się skrystalizowały. Odszukane w r. 1546 spisy najwyższych urzędów i tryumfów (Fasti consulares et triumphales) wskazywały w blokach marmurowych, które się pokazały, na jakieś archiwum, ale długo nie wiedziano, że one zdobiły ściany odbudowanej w r. 36 przed Chr. przez Domitiusa Calvinusa regia, która Septimius Severus ponownie zrestaurował. Kiedy w roku 1874 natrafiono na ślad okrągłej budowli, nie umiano jej określić ani nazwać. Nikły szczątek zbyt słabym był asocyacyjnym łącznikiem z wyobrażeniem sławnej świątyni. Nieśmiały początkowo domysł, że to może świątynia Westy, dopiero w 10 lat później przemienił się w pewność, kiedy odkopano dom westalek. Literacka notatka Festusa, że aedes rotunda Vestae stała na granicy forum, sacra via, blisko świątyni Kastora, dodała tej pewności niewzruszonej podpory. Tu odbierała cześć Vesta publica populi Romani Quiritium w formie ogniska, na którem płonął ogień bezustannie dniem i nocą. „Effigiem nullam Vesta nec ignis habet“ — tłumaczy Ovidius, aczkolwiek przyznaje się otwar-

cie (Fast. VI. 295): „Esse diu stultus Vestae simulacra putavi.“ Z mężczyzn jedyny Pontifex Maximus miał dostęp do świątyni, jak znowu niektóre sacraria w regia jedynie dla Vestalis Maxima dostępne były, inni śmiertelnicy znali wnętrze świątyni tylko z opowiadania i tajemnicy, która z uratowanem niegdyś z Troi Palladium kryła przyszłość Rzymu. Sam kult był pierwotnie bezwizerunkowy, jak cała religia rzymska według świadectwa Warrona „plus annos centum et septuaginta“ tylko symbolizowała bogów. Na rzecz rozpowszechnionego z czasem zwyczaju obrazowania bóstw zrobiono to ustępstwo, że u wejścia do domu westalek wzniesiono aedicula z wizerunkiem Westy, — zachowane dotąd jońskie tetrastylon z napisem na fryzie: „Senatus populusque Romanus pecunia publica faciendam curavit“ przynależy czasom Trajana. Monety przedstawiają boginię z berłem i czarą ofiarną albo z Palladium na ręku. Na prowincyi, gdzie Westa szczególniejszej doznawała czci jako patronka piekarzy, stoi przed nią kosz z kłosami zboża albo z chlebem, a obok kosza osioł jako zwierzę pomocnicze przy przygotowaniu chleba. Tak ukazują Westę malowidła Pompejańskie. Podczas Vestaliów obwieszano wieńcami młyn i osły.

Wracając do państwowego kultu stolicy, widzi się całą uwagę skupioną na ‚focus‘ i ‚ignis sempiternus‘ świątyni. Ma ona w historyi Rzymu specyalną rolę i dlatego zrozumiałe było zainteresowanie, jakie obudziły wykopaliska, ustalające dane co do tej świątyni. Odtąd przestano świątyńki okrągłe, S. Teodoro na zachodniej stronie Palatynu, jak u nas pisał jeszcze Konstanty Gaszyński dnia 16. grudnia 1851 (Listy z podróży do Włoch), i takąż S. Maria del Sole, nad Tybrem, darzyć nazwami Tempio di Vesta. W parę lat później postawiło to także Kremera w konflikcie z samym sobą, którego nie usunął Henryk Struve w r. 1878 w wydaniu dzieł Kremera. Natomiast zajęto się zbadaniem rumowiska gruzów i odłamków, jakie znaleziono w obrębie świątyni. Oprócz stereobatu, który dźwigał zrąb świątyni, okolonej jako peripteros 20 kolumnami z metalowem okratowaniem interkolumniów, skonstatowano wejście od wschodu po zachowanych częściowo stopniach, a w podmurowaniu z przeciwległej strony dostęp do kanału, łączącego się z szachtem (favissa) jako zbiornikiem popiołu, wywożonego raz do roku 15 czerwca. Ornament fryzu zewnętrznego, na którym widniały insignia westalek i sprzęty ofiarne, zdobił to samo belkowanie, które pod-

trzymywało także kassetony kolumnady i fryz wewnętrzny celli. Wszystko to pozostałości z restauracyi po pożarze r. 191.

Podobnież czasom cesarstwa głównie przynależą ruiny Atrium Vestae. To nazwa techniczna domu westalek, obok której pojawia się niekiedy druga, atrium regium, powstała w zawisłości od sąsiedniej regia. Całość więc a parte potiore nazwana, od wielkiego perystylu, który wynagradzał mieszkankom ich odcięcie od świata, a był niejakiem przypomnieniem dawnego gaju świętego. Podwójne kolumny z cipollino i breccia corallina barwną płaszczyzną portyku obiegały wszystkie cztery fronty zabudowań, tworząc w środku prostokątną przestrzeń z basenami i rodzajem 8° bocznego pawilonu kwietnego czy wielkiej altany. Za krużgankami krył się labirynt ubikacyi, których różny był wiek i różne przeznaczenie. W architekturze zanalizowano cztery peryody. Najstarsza strona wschodnia, nieco wzniesiona, miała wielką salę sklepioną t. zw. tablinum, od którego były wejścia do sześciu mniejszych komnat, uważanych ze względu na liczbę równą liczbie kapłanek za ich sypialnie, a które prawdopodobnie uważać należy z tablinum jako wspólnym salonem za odrębne lokale i depozyty sprzętów obrzędowych każdej z westalek. Mieszkalnych pokoi trzeba szukać na piętrze, gdzie też natrafiono na urządzenia łazienkowe. Grunt wilgotny, teren zamknięty i wystawiony na brak słońca przez znaczną część dnia, zmuszał iść w górę, zwłaszcza od strony Palatynu, o którego górującą sylwetę oprzeć można było więcej piąter i jak zachowane ruiny pozwalają wnioskować, rzeczywiście oparto. Cały trakt południowy i zachodni mieścił część gospodarczą domu wraz z mieszkaniami personalu służebniczego. Najbliższe tablinum lokalności związane były zapewne jeszcze z czynnościami westalek jako kapłanek. Tak domyśla się Jordan, w jednej z nich cella penaria, składnicy kłosów orkiszu, ziarna i mąki, a dalej *pistrinum* a raczej *moletrina*, stojącą w związku z wypiekiem rytualnym pieczywa na cele liturgiczne, — pozostał dolny kamień do rozcierania ziarna i wydeptany krąg osiołka, który obracał kamień górny. Dalsze ubikacye z wspólnym korytarzem, z schodami na górne piętra i wyjściem na via nova, nie dadzą się bliżej określić. Ta część południowa wskazuje jeszcze na czasy wcześniejsze, jak i zachodnia, która mieściła kulinarne urządzenia z zachowanem ogniskiem, kuchennemi naczyniami, zbiornikiem na wodę itp.

Najpóźniejsza jest strona północna, w której jednak najbardziej gubią się ślady epoki, kiedy westalki były tu paniami. Przebudowy średniowieczne wiele tu zatarły, — w głębszych fundamentach dopatrują się niektórzy resztek starej regia, która według świadectw starożytnych stykała się niegdyś z atrium Vestae, jako ὁμότειχος, a przy późniejszych zmianach terenowych zwłaszcza po pożarze r. 191, styczność ta się przerwała, pozwalając domowi Westałek rozszerzyć się w nowe skrzydło, które zwyczajem rzymskim pomieściło zapewne magazyny domowe, a w parterze odciętym, jak widać z resztek muru, od wnętrza domu, może nawet właściwe tabernae. W północno-wschodniej części, sąsiadującej z tablinum, mogło być, jak przyjmują, letnie triclinium, a za niem, wnosząc z resztek ołtarza, jakieś sacrarium.

To pewna, że cały ten kompleks czworoboczny obliczony był na wygodę kapłanek, która otoczone sztabem pomocnic i liczną służbą, znajdowały w domu wszystko, co tę wygodę zapewniało. Były to przecież osoby przyzwyczajone do dostatku, długo wychodziły z pierwszych rodzin patrycyuszowskich, później i plebejskich, wkońcu, w braku chętnych kandydatek, zostawały westalkami i córki wyzwoleńców, — wszystkie wnosiły posag albo przez cesarzy bywały wyposażone. Żyły na stopie odpowiedniej ich stanowisku, które było bardzo wysokie. Stoją obok pontifices, uprzywilejowane nadzwyczajnemi wyróżnianiami. Nie obowiązuje ich patria potestas nawet w czasie małoletności. Wobec wielkich ciężarów państwowych korzystają z zupełnej immunitas. Zeznania ich przed sądem wolne są od przysięgi. Na ulicy kroczy przed niemi liktor, któremu nawet konsul schodzi z drogi. Wolno im w obrębie miasta używać powozu, co przysługuje tylko małżonce cesarza. Mają zastrzeżone honorowe miejsce podczas widowisk. Nawet przypadkowe spotkanie skazańca niesie mu ułaskawienie. Depozytom testamentowym nadają siłę gwarancyjną Obraza westalki pociąga za sobą karę śmierci.

Wysokie te zaszczyty i przywileje okupić trzeba było niemałemi ofiarami. Dzieckiem, bo między 6—10 rokiem życia wyrwana z domu rodzicielskiego, pędziła w odosobnieniu, choćby to było nie wiedzieć jakiem splendid isolation, pełne 30 lat, w świadomości ciężkiego brzemienia, którego ulżyć nie było sposobu. U końca tego długiego okresu, który najpiękniejsze lata obejmował, szarzył się

wprawdzie mdły odblask możliwy eksauguracyi i powrotu do życia, a nawet wejścia w stan małżeński, jednak dziewicze sny i urok młodości były dla niej pogrzebane. A cóż jej dawał i powrót? Zmiana 30-letnich przyzwyczajeń i trybu ujętego w karby regulaminu domowego czyniła ją zapewne podobną do owej siostry u Matyldy Serao, która po kasacie jej zakonu nie umie w swej bezradności kroku zrobić na ulicach Neapolu. Trzydziestoletnia służba kapłanki Westy było twardą szkołą obowiązku. Pierwsze lat 10 to czas nauki i zaprawiania się w służbie, drugie lat 10 to odpowiedzialne pełnienie obowiązków i jeszcze 10 lat to wprowadzenie młodych adeptek w powinności kapłańskie westalki. Wiedziała, że z wejściem w przybytki Westy aż do ich opuszczenia serce jej nie śmie zadrgać miłością kobiety, bo sama bogini „virgo — *virgine laeta ministra*, admttit c a s t a s ad sua sacra manus“ (Ovid. Fast. VI. 289-290). Poza tym nakazem, który wykluczał tę pobłażliwość, jaką u Marmontela objawia król Inkasów dla kapłanki słońca, skazanej na śmierć za złamanie ślubu czystości, wplata się w koło codziennych obowiązków, które kierują każdym jej krokiem i wiążą każdą jej myśl. Głównem jej zajęciem, które na lat 30 stawało się zadaniem życia, było obsługiwanie wiecznego ogniska, które dniem i nocą płonąć musiało. Ogień odnawiano prawidłowo raz w roku, 1. marca t. j. z dawnym początkiem roku, zapewne ogniem z atrium Vestae, a w nadzwyczajnym wypadku zagaśnięcia, za które czekała niedbałą westalkę chłosta z ręki pontificis maximi, wywoływano go sposobem pierwotnym przez tarcie lub wzmocnione działanie słońca. Dla celów lustracyjnych świątyni przepis kazał westalkom nosić wodę z groty koło Porta Capena przy via Appia. Uczestniczyły w przepisanych ofiarach u siebie i w mieście. Obecność ich rytuałem wymagana była 15. kwietnia przy Fordicidiach, podczas których ofiarowywano cielną krowę, a popiół ze spalonego płodu przechowywały westalki w ‚penus Vestae‘ świątyni na Parilia 21. kwietnia (uroczystość założenia miasta), a nadto 15 maja podczas procesyi argejskiej, kiedy z pons sublicius zrzucały westalki manekiny z sitowia do Tybru.

Specyalnej trosce westalek poruczone było wypiekanie ciasta obrzędowego do ofiar t. zw. mola, którą obrzucano zwierzę ofiarne przed zabiciem (stąd immolare, ofiarować). Odwieczny rytuał tego wypieku zachował nam Servius do Verg. Ecl. 8. 82: „virgines vestales tres maximae

ex Nonis Mais ad pridie idus Maias alternis diebus spicas adoreas in corbibus messuariis ponunt easque spicas ipsae virgines torrent, pinsunt, molunt atque ita molitum condunt. Ex eo farre virgines ter in anno molam faciunt, Lupercalibus Vestalibus idibus Septembribus, adiecto sale cocto et sale duro". A więc w ściśle oznaczonych dniach maja trzy westalki najstarsze kłosy orkiszu zbierają, suszą, łuszczą, mielą i to jest zapas, z którego w oznaczonych znowu trzech terminach sporządzają ową m o l a z przymieszką soli, a przeto zwaną także „mola salsa" obok „mola casta, „far pium". W tym rytuale zachowałaj się pozostałość prastarych zwyczajów, kiedy orkisz stanowił główne pożywienie, przyrządzane na sposób pierwotny. Te czasy przypominały i sprzęty kultowe gliniane, czego świadectwem słowa Valeriusa Maxima 4. 4. 11: per aeternos Vestae focos fictilibus etiam nunc vasis contentos! Z liczbą trzech najwyżej urangowanych westalek i z ich czynnością wypieku „mola", której służył i znajdujący się obok aparat młynarski, wejdą zapewne w jakiś związek trzy „dolia", natrafione w cella penaria jako schowki dla owych przetworów orkiszowych — w jednem z nich znaleziono ukryte widocznie w pośpiechu, w jakiejś chwili niebezpieczeństwa dla naczyń świętych, a może w chwili ostatecznego żegnania się z domem westalek, glinianą czarę i takiż kubek. Dok. nast.

Dr. Wincenty Śmiałek.



Religijne zagadnienie u Wyspiańskiego.

(Dokończenie.)

Nie zatrzymał się jednak poeta na tem samem stwierdzeniu, że śmierć jest powinnością dla tego, kto chce żyć; jest zatem poza jej progiem jakieś życie, do którego się idzie po przez to doczesne. Czem ono jest? Gendre z „Nocy listopadowej" nazywa ją „lepszym światem"; czy to jest wyznanie poety samego? Tak, bo na to wskazuje dalszy jego rozwój duchowy.

Jego etapem — „Powrót Odyssa". Dziwnem się może to komuś wydać, że dramat na greckiem, pogańskiem osnuty

tle ma być posunięciem się chrześcijańskiej myśli poety naprzód. A jednak tak jest. Wyspiański bowiem inaczej pojął bohatera z Troi, niż Homer. Starożytny poeta widział w nim jedynie ucieleśnienie sprytu człowieka podstępnego, lecz uczciwego ostatecznie. Wyspiański zaś przedstawia go jako zbrodniarza, który po spełnieniu wielu zbrodni usłyszał nareszcie głos sumienia, zrozumiał złe, które dotąd czynił; dlatego ściga go niebo, żądając pokuty, kary za grzechy. Jest zatem jakaś nadnaturalnego początku sprawiedliwość, — jest życie, do którego występny wejść może jedynie po odpokutowaniu win. Dlatego mimo pozorów pogańskiego świata „Powrót Odyssa" ma duszę chrześcijańską w tej naczelnej idei dramatu: wyrównanie rachunków z zaświatem.

Podobny motyw wybija się także z utworów osnutych na tle zatargu Bolesława Śmiałego ze św. Stanisławem. Bujne, bo pierwotne, bo nie dotknięte kulturą obłudy, niedomówień było życie Polski Piastów. To też ludzie działali żywiołowo, — krew, nerwy grały: niejedna stała się wtedy krzywda, rosły nienawiść i gniew, antagonizmy były i żywsze i mniej krępowane, niż dziś. W początkach państwa polskiego stał się konflikt między dwiema największemi potęgami: Biskupem, co przez chrześcijaństwo zmieniał duszę Piastów, odejmował jej cielesność (Krasawica) a krzewił w niej zbawienie, — tłumił dziką pieśń (Rapsod) natury nie ujarzmionej, a stroił ją na nutę melodji Bożej dźwięczącej czystością i tchnął w nią ideał cnoty (przemiana Rapsoda), a królem, co włada znów ciałami poddanych, typowo średniowiecznym władcą z mandatu Boga rządzącym. „Konflikt kończy się śmiercią Biskupa. Pokłóciło obydwu życie. Ale śmierć ich pojedna i zgodzi. Bo oto król, tułający się po świecie pokutnik, z gniazda swojego wyrzucony i tronu wyzbyty, ma z mieczem gotowym do cięcia czekać, aż chwili od Boga zrządzonej przeżegna go ofiara jego uniesienia Biskup i wezwie do szczęścia. Biskup zaś po rzuceniu na króla klątwy słyszy od wysłannika Bożego — śmierci:

„Najcięższą wziąłeś winę win,
żeś wstrzymał Bożej ręki sąd
i sam wypełnił czyn
i słowo potępienia.

Dlatego za swoją winę ma także dać satysfakcję:

Módl się za tego, kogo Bóg
wybrał na twego sędzię,
krwią spłacisz winy święty dług
a duch zwolony będzie!

Zapomnijmy o tem, że to jest czczony przez naród i wieki święty Stanisław i że poeta dał się unieść pewnej części krytyków historycznych, obwiniając Biskupa. Co widzimy? Rękę Bożą, wychylającą się z przestworzów, godzącą powaśnionych, wymierzającą sprawiedliwość. Życie ziemskie przeminie, ustanie z niem gorączka własnych interesów, — zostanie jedynie sprawiedliwy wyrok Boga, on rozwikła poplątane stosunki ludzkie, pogodzi zwaśnionych i tak stworzy tamten, „lepszy“ świat.

Jednym z ostatnich utworów poety jest dramat współczesny „Sędziowie“, który jest końcowym, bardzo znamiennym etapem w rozwoju ducha Wyspiańskiego. Akcja rozgrywa się w szynkowni żyda, Samuela, która jest dawną, w lichwiarski sposób wydartą chałupą chłopa huculskiego. Staje na scenie ten bezwstydny zdzierca, jeden z pająków, co przed laty omotali w swoje sidła polską wieś. Nie syt kradzieży i bezprawi, ma otrzymać karę. Oto wchodzi do karczmy dziad. Nie znany, a tak przecież jakoś znajomy żydowi. To ów gazda, którego mienie nieprawnie posiadł. Wrócił oto z więzienia, z miejsca kary za usiłowaną pomstę na sprawcy swej biedy. Poszedł tam, jak wyrzutek społeczeństwa, wypluty przez nie, dźwigając własne winy i odpowiedzialność za upodlenie dzieci. Wraca inny: jakiś silny duchem, świadom złego, które uczynił ale i krzywdy, którą mu wyrządzono. Z jego ust padają słowa, iż w swoich dzieciach będzie karany Samuel. Otwierają się drzwi, ukazując wnętrze życia w przeklętem przez ludzi karczmisku.. Córka owego ongiś tu gospodarza, Jewdocha, obecnie niewolnica i nałożnica syna karczmarza, Natana i zabójczyni dziecka, pochodzącego ze związku z nim, prześladowana krwawem wspomnieniem zbrodni, dopomina się o swoje prawa. Odezwało się nareszcie w tym przez grzech i nędzę strawionym człowieku sumienie. Lecz niewygodnym jej tu pobyt dla Natana zamierzającego się żenić. Dlatego w zwadzie z urlopnikiem, bratem Jewdochy, tak manewruje rewolwerem, aż wypalił w piersi Jewdochy. Odbywa się sąd, spisanie protokołu przez wiejskich cenzorów; kto winien? „On winien“ — słychać głos i rękę widać skierowaną w stronę Samuela! Słowa te wymawia drugi syn karczmarza, Joas, młody chłopiec, skrzypek, żyjący tylko w krainie czystych idei. On to, milczący, patrzył na wszystkie zbrodnie ojca, — on je osądził jako niezgodne z zakonem Pana. Teraz w chwili sądu z jego ust pada słowo potępienia ojca. Równocześnie do tej dyszącej grozą sądów

Bożych izby wpada dzwonek, oznajmujący przybycie księdza do umierającej chorej i słowo jego: „Pokój temu domowi!“

Odbył się więc sąd! Naprzód w sumieniach ludzkich. Nad gospodarzem, co przepił mienie, a dzieci upodlił. Więzienie go obudziło w złem. Więc wymodlił tam sobie — jak opowiada — duszę inną, tj. sumienie. Dalej nad dziewką. Zaznała dość grzesznej rozkoszy, ale i udręki moralnej za spełnione morderstwo; niczem już się jej serce tu nie uraduje, — pełna smutku skierowuje wzrok gdzieś daleko, gdzieby się mogła przed rozbudzonem sumieniem schronić! Dokąd się schronisz? pytają jej, czy do kościoła? Kościół nie jedyny Boży dom, odpowiada. A cóż nim jeszcze? „Śmierć!“ Tak, śmierć, ta, przez którą poeta rozumie od początku życie poza progiem doczesności, — życie w Bogu! Oto prawdziwie Boży dom, w którym schronienie. Nieszczęście wreszcie budzi sumienie i w Samuelu. Rzewne są słowa tego starozakonnego wyznawcy, który ongiś zapomniał o karach i groźbach Pańskich na grzesznych, lecz teraz wszystkie je sobie przywodzi na pamięć, kiedy słowa Joasa i jego śmierć wymierzają mu największą karę.

Prorok się wskrzesnął z dziecka duszy,
niepowstrzymaną dłonią kruszy
nieprawość! — Sąd wydaje!

Spełniło swoją powinność nieszczęście, nawracające gazdę-dziada, dziewkę-grzesznicę i Samuela-pijawkę, nieszczęście, cierpienie, które w analogicznym rozwoju psychologicznym, francuski poeta, Fr. Coppée, nazwał „dobrem cierpieniem!“ I jakżeż tu ludzie sądy swoje sprawować mogą? Jakże im, co tylko zewnętrze spostrzegają zmiany, wydawać wyrok, gdy wewnętrzne, utajone ludzkiemu oku działają siły? To też wyposażył poeta postaci sędziów w karykaturalne rysy; dowód to znów nowy, jak nie lubił rzeczywistości i jak faktyczne rozwiązanie ludzkich problemów widział jedynie w sferze idei, w świecie nadziemskim! Bo nad tą skłębioną ludzkiemi namiętnościami atmosferą, — nad tą skruszoną gromadą zbrodniarzy lub niepewną garścią sędziów, wprowadza kapłana, Boga niosącego na sercu, — jakby chciał powiedzieć: ustąpcie jedni i drudzy, oto przychodzi ktoś, co jednych uwolni z więzów sumienia, drugich zaś wyręczy dziełem doskonałem. „Pokój temu domowi“! — takie jest słowo Boga nawiedzającego domy swoich dzieci. Jedyne prawie wyznanie poety, uwydatniające miłosierdzie nad skruszonym grzesznikiem!

Jakież więc nowe myśli w rozwój duchowy poety wniósł ten dramat? Jedną główną, że prawdziwym „domem Bożym“ to śmierć, życie uzgodnione z Bogiem. Więc już żnikła obawa przed zgonem, która poetę nękała przez przeciąg lat kilkunastu! Powolna praca duchowa postawiła go na takim punkcie, skąd poznał swoją omyłkę, rozwiały się jego obawy, na ich miejsce wstąpił pokój, pewność, że Ten, co w dom wchodzi z wieścią szczęścia, da je tym, co sumieniem stali się godni!

Stąd już nie daleko do pragnienia śmierci, a pogardy życia ziemskiego. Bo jeśli tam jest pełnia życia, to doczesne, mające w sobie tylko cząstkę, nie warta znowu tylu pragnień i zachodów. Z tych myśli wyszedł wiersz poety, pisany w r. 1905, zaczynający się od słów: „Wesoły jestem, wesoły!“ Pytano się go o zdrowie! Lecz cóż mu myśl o zdrowiu, kwitnącem tu życiu, gdy ono prawdziwem i pełnem nie jest. Więc, choć chory, — wesoły jest i smutku się zbył. Czemu? Odpowie nam:

Wesoły jestem, świeży...
— cóż to? na marach trup?
to ciało tylko leży,
lecz duch, jak ognia słup!

Wesoły jestem, młody,
już zbywam zbytnich piór,
już idę w krąg swobody,
już słyszę gwiezdny Chór!

Kołysany tą nadzieją odżycia po śmierci, wita ją bez cienia smutku, bez bojaźni!

Ach, któryż jestem żywy,
czy ten, co leci wzwyż,
czy ten, co zmarł szczęśliwy,
ściskając w dłoni krzyż?

Słusznie pisze p. Siedlecki, że należy zwrócić uwagę na te słowa poety, które jego uczuciowy stan przedstawiają, puszczone bez obmyślenia, prawie niebacznie; a takiemi są: „zmarł szczęśliwy“ i te, które przyczynę wskazują pewności, symbolem są pojednania: „ściskając w dłoni krzyż!“ I dlatego szczęśliwy poeta pyta:

Czy ten, co legnie zmożon
przed świątyń własnych progiem,
czy ten, co nie zatrwożon
na sąd ma stanąć z Bogiem?

Złudą jest budować własne świątynie, naznaczać i stawiać własną ręką ciosane bogi; bo kiedyś ich czciciel padnie w proch, rozminąwszy się z celem, padnie, by nie

powstał, gdy szczęścia kres osiągnie ten, co działał w Pańskich świątyniach i dlatego bez trwogi stanie przed Bogiem!

Szukając odpowiednika temu wierszowi w naszej poezji, znaleźć go można jedynie u Krasińskiego — w „Przedświcie“ i w „Glossach św. Teresy“. I tu się pokazuje, jak mimo, wszystko, Wyspiański głęboko tkwił w romantyzmie. Łamiąc się przez całe prawie życie z ideą messjanistyczną, przy końcu przyswoił sobie jej podstawowe hasło: ascetyczne spojrzenie na wartość życia: „umierać musi, co ma żyć“ „domem Bożym — śmierć!“

Tak mniej więcej przedstawia się mi religijny motyw w twórczości Wyspiańskiego. Gdyby zaś chodziło o stwierdzenie jego przynależności wyznaniowej, to się nie zawaham: był katolikiem. A mówi mi o tem świadectwo przyjaciela, bardzo krytycznie dla poety i nie bezkrytycznie względem katolicyzmu usposobionego, jakim był Kotarbiński (l. c. 345): „Jak przystało na podwawelowe dziecko, Wyspiański był całe życie wierzącym bez zastrzeżeń, nie przechodził w młodości walki wewnętrznej, nie miał wiedzy filozoficznej, któraby wstrząsała wiązadłem skostniałych dogmatów“. Mówi mi o tem cała jego działalność. Począwszy od wiersza młodzieńczego z hasłem „pro patria et fide“ i z odczuciem religijnem obrzędów, Mszy św., aż do „Zygmunta Augusta“, wszystkie jego utwory noszą na sobie piętno religii, w której się autor wychował. Ostatnie wreszcie chwile życia, kiedy bez zaprzeczenia sobie spełnił katolickie praktyki religijne i u katolickiego kapłana szukał wiatyku na drogę do „śmierci“, do „domu Bożego“, nie zostawiają miejsca wątpliwościom. I to w dzisiejszych czasach odwracania się wielu od Kościoła, trzeba podkreślić raz jako piękny rys poety, a z drugiej strony jako jeden z dowodów żywotności katolicyzmu, który tego rodzaju twórcom wystarcza w życiu i przy śmierci.

Warto wreszcie zwrócić uwagę na jeden szczegół w twórczości Wyspiańskiego. W kilku dramatach musiał dotknąć oficjalnych przedstawicieli Kościoła. Jakże jego sąd wypadł? Otóż stwierdzić trzeba, że postaci Grzegorza XVI. i Piusa IX. w „Legionie“ narysował mniej wyraźnie, niżby sobie życzyć należało, jednak pięknie i szlachetnie pojęte. Grzegorz — starzec, zmizerowany chorobą i przykrościami Namiestnika Chrystusowego, jednak w scenie z carem dobywa z piersi tyle groźnego wyrazu i takiej siły, że Mikołaj, morderca ukoronowany, czuje się zmiażdżonym po-

tężną osobistością starca Występuje jako najwyższy kapłan, zastawiający się za lud swój i zarazem jako wieszcz niewidzialnych, Bożych rzeczy; on to bowiem wyjaśnia zbladłemu carowi, że dwoje ich przybyło z północy (car i M. Makryna), przybyło z Bożego wołania, — przybyło tu, do wiecznej Romy, by każde wzięło część wyroków Boskich w siebie.

Inną rolę ma do odegrania w dramacie Pius IX. Mickiewicz przybywa, by go pozyskać dla swojego legionu. Z ust Papieża słyszy Polska chłoszczące słowa, jakoby wyrok historji, która pomściła dawną butę, sobkostwo, ciemiężenie maluczkich. A kiedy Mickiewicz zerwać chce z przeszłością, słyszy papieskie mądre upomnienie:

Jesteście synowie Piłaci,
jeśliże wam Ojce ciężą,
jeśli ich złość zwiecie wężą,
gdy wyrzekacie się braci;
— — — — — — — —
toście ojcowiznie kaci, —
jakoż wasze oręże zwyciężą?

Nie mógł się jednak poeta zdobyć na przedstawienie postaci św. Stanisława. To znaczy: uczynił go bohaterem dwóch dramatów i włączył go w strofy rapsodu, ale to nie jest Biskup krakowski, walczący ze Śmiałym; to są dwie osoby, o różnych duszach i różnych temperamentach nawet. Biskup mianowicie z rapsodu „Bolesław Śmiały", usunięty zresztą tutaj w cień, schodzi się z Biskupem „Skałki". Jest on Władcą, podobnie jak król; od Boga wziął rycerskie pasowanie ku obronie Jego królestwa w duszach, nad niemi też ma władzę. Jego moc tak wielka, że zadrżał przed nią i król z rapsodu, kiedy wpadł na Skałkę spełnić zbrodnię. A jednak — zdaniem poety — winowajcą jest Biskup (dlaczego, wyjaśnia w dramacie „Bolesław"), dlatego musi się poddać wyrokowi Śmierci, którą z tą wieścią posłał do niego Bóg. Zwaśnionego z królem pojedna wieczność. Inaczej natomiast przedstawia się ten sam Biskup w „Bolesławie Śmiałym", dramacie. Stróż nieugięty praw Kościoła, o typie Grzegorza VII., surowy dla siebie i drugich; karci króla za występki, króla, który odziedziczył w spadku po ojcach wielkie myśli o ugruntowaniu państwa na silnych podstawach Biskup, karcący króla, reprezentuje warcholski pierwiastek w Polsce, który jedność rozbija, spiskuje przeciw królowi i państwo naraża na wojny domowe. Bezwątpienia, obraz bardzo krzywdzący pamięć Patrona Polski, którego grób naród otoczył głęboką i powszechną czcią.

Zapewne spostrzegł to z czasem poeta i w „Skałce" dał pewną satysfakcję duchowi świętego Biskupa.

Są jednak pewne momenty, które ten dobry stosunek poety do katolicyzmu psują. Dotknę najważniejszych.

Naprzód razi nas, szanujących swoje religijne świętości, traktowanie ich bez należytego pietyzmu. Do takich, liczniejszych zresztą, szczegółów należy scena z „Legionu", w której Mickiewicz odprawia ze swoimi uczniami coś w rodzaju ostatniej wieczerzy Chrystusa; że to nie samo przypomnienie tylko kierowało piórem poety, świadczy fakt, że jest 12 uczniów, że nawet chleba jest łamanie i błogosławienie. A przecież poeta umiał o tych tajemnicach mówić z należytym szacunkiem, o czem świadczy choćby ostatnia scena »Sędziów".

Pomijam inny, mniej ważny pomysł: budzenie katedry wawelskiej i niesmaczne, nieodpowiednie w miejscu czci religijnej słowa i zachowanie się zbudzonych kamieni — ludzi, a przechodzę do następnych.

„Klątwa", dramat, który dotąd jest powodem bardzo daleko posuniętego krytycyzmu pewnych sfer względem poety. Pisano o niej dużo, komentowano i to nieraz tak przeciwnie, że ten, ktoby chciał na podstawie tej literatury dojść do jasnego o dramacie sądu, miałby do wyboru ogień lub wodę. Kiedy krytycy socjalistyczni (Brzozowski, Haecker, Feldman), widzą w niej bunt przeciw chrześcijaństwu, to znów Siedlecki dopatruje się powrotu do niego. Nie o to mi chodzi, lecz o punkt styczny z tą religią, — o Księdza. Przyznaję, że jego postać narysowana w dramacie ze współczującą miłością poety (jakżeż dalekimi od prawdy są ci, co w niej chcą widzieć paszkwil na duchowieństwo; tak się paszkwilów nie układa), a jednak widzę w niej nierówność i to tak wielką, że psuje zwartość utworu. Wszak staje on przed nami, jako poczuwający się do winy złamania celibatu grzesznik. Ma on dużą kulturę moralną, urobioną na podstawie własnego przeżycia proroków Starego Zakonu, i ich Boga karzącego bez miłosierdzia, klątwy, jaką głoszą grzesznym. Jest jednak i chrześcijaninem; świadczy o tem już nie tylko suknia jego kapłańska, ale i sposób przeżywania kary. A przecież poeta odstępuje później od tak wytyczonego kierunku jego moralnego życia; ksiądz wbrew nauce chrześcijańskiej, którą głosi, dochodzi do przekonania, że Boga przebłaga materjalną ofiarą. A więc nie sumienia, lecz zgliszcz ofiarnych domaga się Bóg! To już nie starozakonna moralność, ale barbarzyń-

ska ideologja bałwochwalców. Zapewne czuł poeta, że popełnia pewną niekonsekwencję, tak łamiąc dramat, skoro wysunął pewne pozory: musi zginąć to, co było grzechu narzędziem i skutkiem, by ślad po nim nie został. Ale przecież to pozory, to wmawianie tylko rzeczy powierzchowne, nie wnikające w duszę. I to, że ostatecznie ksiądz wysuwa myśl poświęcenia Młodej i dziatek na ofiarę strasznemu Bogu, jest już nie tylko barbarzyństwem. ale i niekonsekwencją w dramacie. Kotarbiński odnosi treść tego dramatu do czasów, kiedy w Polsce synodalnie umacniano celibat (a więc wiek XII. XIII.), Siedlecki znów do w. XVI. Dlaczego, idąc za wskazówkami poety, nie mogą jej przypisać wiekowi 19-mu? Bo czują ową wytkniętą niekonsekwencję, a nie mogąc sobie jej wytłómaczyć, starają się ją usunąć przez oddalenie dramatu w odległe wieki. Pomyłka, — wszak kultura moralna jest zdobyczą nie dopiero ostatniego wieku, ksiądz głoszący Chrystusa musiał znać różnicę zasadniczą męidzy chrześcijaństwem a pogaństwem: rząd Boga nad sumieniem ludzkiem i wartość czynów ludzkich tylko na niem się zasadzającą.

A jednak nie potępię poety za ten dramat. Wystarczy mi zastanowić się nad jego genezą, nad okolicznościami, w których powstał. Wydany był w r. 1899. Już od pewnego czasu, złączył się poeta wolnym związkiem z prostą chłopką z okolic Tarnowa pochodzącą. Zapewne, prócz chwili zapomnienia nic go z nią nie łączyło.

Dlatego, nie idąc śladem swoich kolegów, których uczucie głębsze prowadziło do ołtarza z córkami ludu krakowskiego, mógł związek zerwać; byłby dalej uchodził za uczciwego, jak tylu ludzi pobielonych cnotą. Tak, ale nie byłby nim w swojem sumieniu, tj. wobec Boga. Więc co zrobić? Wybór trudny! Wziął ślub z kobietą, od której szczęścia spodziewać się nie mógł, która mu była obcą prawie, — zrobił to, idąc za nakazem chrześcijańskiego surowego sumienia. Nazywają to fanatyzmem moralnym, w którym i katoliccy teologowie nie widzą obowiązku, — ale takim był już poeta. Wtedy to pod wpływem tej walki ze sumieniem urodziła się idea strasznego dramatu, w którym Bóg występuje, przeklinający zło pożyte, w którym odwieczny Zakonodawca domaga się najściślejszego spełnienia praw surowych swoich i karzący bez litości za ich przekroczenie. A kiedy z tej strony spojrzymy na dramat „Klątwy“, rozjaśni się nam nieco idea przewodnia, a w każdym razie poznamy go przy pomocy niezawodnego ko-

mentarza, jakim jest życie twórcy. Pisał go fanatyk idei odrodzenia z grzechu przez ofiarę; fanatyk, — dlatego niejeden szczegół wystąpił w fałszywem świetle, dlatego i błąd w przeprowadzeniu akcji i psychologji osób możliwy, jak powyżej stwierdzono.

Jeszcze jeden punkt w twórczości Wyspiańskiego razi moje przekonania, a mianowicie pewnego rodzaju zidentyfikowanie messjanizmu z chrześcijaństwem. Mieliśmy już sposobność stwierdzić, że źródłem pierwszego była chrześcijańska nauka o ofierze krzyża. Dlatego lud w „Legionie" łamie krzyże — Konrad z „Wyzwolenia" przekląć chce krzyż, — w „Akropolidzie" wstępuje w progi katedry Chrystus-Apollo. Mógł nam tego oszczędzić poeta, zwłaszcza jeśli chciał być sprawiedliwym. Na jego usprawiedliwienie chyba to można przytoczyć, że tajemnica Krzyża jest mądrością pierwszorzędną i nie każdemu dostępną, że św. Paweł jej poznaniem się chlubił, że więc poeta, któremu oczy przysłoniła kurzawa walki z messjanizmem, nie dojrzał w symbolu chrześcijaństwa tego, co jest jego mocą: wezwanie do życia przez cierpienie!

Kończąc te moje uwagi o religijnem zagadnieniu w twórczości Wyspiańskiego, muszę nadmienić, że uważałem je za spojrzenie na autora pod kątem widzenia życia, a nie sztuki; dlatego zapewne w niejednym punkcie stanąłem w sprzeczności z którymś obozem krytyków. To mnie nie przeraża, chodziło mi bowiem o to, by jak najwierniej przedstawić duszę tego zjawiska, któremu na imię Wyspiański, — a raczej jedną tylko cząstkę jej, tę, która żyła Bogiem. Nie byłyby jednak zupełne moje spostrzeżenia, gdybym nie zwrócił uwagi na jeden jeszcze rys duchowości poety.

Są ludzie różni! Są natury słoneczne, dla których wszystko ma swoją dobrą stronę i którzy wszystko widzą w zabarwieniu różowem, ich życie jest jak pełen radości mazur Szopena; są inne dusze, zawiane od początku swoich dni smutkiem, patrzą też na świat przez mgłę melancholii, — ich życie jak księżycowa sonata Beethovena, — ich pieśni, jak słowa człowieka cierpiącego ból zębów (powiedział gdzieś Perzyński). Z takich był Wyspiański, taką smutnie zamyśloną lub groźnie przemawiającą do „chóru" wygląda jego dusza z po za dzieł. Do takich też ludzi trzeba przystępować bez uprzedzeń, wtedy się ich dusza otworzy, bez powagi mentora, co buntujące się dziecko na kolano bierze, wtedy poczną mówić. Takie stanowisko

zająłem w niniejszej rozprawie względem poety. Niejedno musiałem mu wytknąć, — wierność podjętemu zadaniu to nakazywała, wszakże starałem się to czynić z uczuciem, jakie się ma dla tych, co błądzą sercem, lecz nie rozumem. Dlatego też, kończąc, jedno tylko mam słowo dla tych, co o Wyspiańskim mówią: przystępujcie do niego z szacunkiem! *X. Jan Piwowarczyk.*



Z naszej dziedziny.

VIII. Nasza młodzież w armji.

Na obszernym rynku powiatowego miasteczka X. w pogodne popołudnie sierpniowe uszykowało się parę zastępów wojska. Zielone amerykańskie mundury, nowe obuwie, znakomita broń francuska, na głowach modre hallerowskie rogatywki. To ochotnicy Piechota n. pułku strzelców i artylerzyści. Przyszli pożegnać kompanję „marszówkę", odchodzącą dziś w pole. Zawarczał samochód, z którego wyskoczył żwawo pułkownik z głównej kwatery armji ochotniczej, obok niego kapelan w rogatywce... Brzmi komenda. słychać krótkie i jędrne przemówienie pułkownika, a potem, w okamgnieniu, wspaniale składają się szyki do marszu, Na rogu ulicy staje muzyka wojskowa, naprzeciw sztab. „Defilada — w prawo patrz!"... Prężą się piersi, głowy, w prawo się zwracają, nogi biją w takt marszu defilacyjnego, las karabinów piętrzy się na ramionach.. Idą ochotnicy, żegnając miłe miasteczko i mieszkańców, a wśród tych żołnierzy tylu, tylu naszych chłopców. Młode te, młodziutkie, wprost z ławy szkolnej poszło w szeregi na pierwszy apel, na pierwsze wołanie Ojczyzny. Twarzyczki dziecięce niemal— a takie dumne, takie marsowe, spalone lipcowem słońcem, ogorzałe wichrem po ćwiczeniach i marszach. Widzę ich i poznaję... trochę przez łzy, co cisną się do oczu... To moi z ósmej, siódmej — nawet szóstej i piątej klasy... Żołnierzyki drogie.. serdeczne, kiedyż Was Bóg do szkoły powróci?

* *
*

W mieście Y. dywizjon artylerji gotuje się do odjazdu na front. Wpadłem w sam czas, niemal w ostatniej chwili, by inną gromadkę swych uczniów odwiedzić i pożegnać. Z komendy placu trzech ordynansów z nadzwyczajną goto-

wością rozbiega się po kwaterach i stajniach, by mi ich wyszukać i sprowadzić. Schodzą się, zbiegają się rozweseleni, uśmiechnięci. Pytaniom i opowiadaniom niema końca. „A — dziś mieliśmy spowiedź i Komunję św. na odjezdne" — mówi mi siódmak mój, poczciwy sekretarz sodalicji dotąd — dziś kanonier — ochotnik ze sztabu. „A nasi byli wszyscy, Władku?" rzucam — „Co do jednego, księże profesorze!" — „No dobrze... dobrze... cieszę się bardzo, bardzo... moi Drodzy..."

Ostatnia noc na kwaterze, jutro wyjazd na front, więc i karność trochę zelżała wobec pakowania pułkowego sprzętu. Dobrze się złożyło. Chłopcy odprowadzają mnie na pociąg o drugiej w nocy. Z głów zniknęły już kształtne rogatywki, ciężkie hełmy frontowe gniotą młode czoła, w kieszeni na piersiach wypełnione „karty śmierci"... Trudno nam rozstać się i jakoś boleśnie. Ochotnicy, choć śmiertelnie zmęczeni, zapomnieli o spaniu, a tak niedługo już ranna pobudka! Dziś wyjątkowo o wpół do czwartej, bo to przed odjazdem na front...

Zdala słychać łoskot pociągu... świst lokomotywy przecina nocną ciszę... jeszcze jeden uścisk długi, serdeczny... Patrzą z okna wagonu, jeden wiesza się na chwilę u stopni... Pociąg rusza i zasuwa się w ciemność... Błogosław wam Boże — ukochani moi... Żegnajcie!

* *
*

W szpitalu wojskowym w X. na tapczanach dziesiątki chorych. Wśród nich ochotnicy — studenci. Grasuje tyfus... czerwonka... Zbliżam się do łóżka jednego z moich ósmaków. Poszedł i on na wezwanie, choroba karabin wytrąciła z młodej dłoni i zwaliła na łóżko. Blady, wychudły, cierpiący — ale uśmiecha się spokojnie. „Trzeba Ojczyźnie służyć w zdrowiu i chorobie, to trudno. Byle wrócić czemprędzej do kompanji"... Gadamy chwilę, widzę, że mu źle na tem łóżku szpitalnem, bez opieki matki, bez wszelkiej wygody... Nie słyszę ni słowa skargi, wyrzekania. „Trzeba służyć Ojczyźnie"...

* *
*

Młodzież nasza poszła do wojska. Poszła w przeważnej, ogromnej liczbie w charakterze ochotników, wywczasy wakacyjne zmieniając na uciążliwe ćwiczenia, prowadzone w szalonem tempie, od świtu do wieczora, gorączkowo, niemal bez wytchnienia. Poszła po raz trzeci ze szkolnej ławy w tych strasznych, ostatnich kilku latach, wstępując najpierw

w Legjony, potem w r. 1918 w szeregi tworzącej się armji polskiej i odrazu na front ukraiński, wkońcu w ostatnich dniach na wołanie o pomoc i ratunek...

Idąc ze szkolnej ławy, w przeważnej większości wracała na nią po roku, dwóch, czasem po kilku miesiącach, tygodniach wojaczki.

I nikt nie zaprzeczy, że zarówno jej wyjście, jak powrót dla nauczycieli i wychowawców, a w pierwszym rzędzie dla nas katechetów, były i są jednym z najważniejszych momentów, jednym z najbardziej na uwagę i obserwację zasługujących faktów współczesnego życia szkolnego. Zechciejmy temu faktowi, jego istocie i pobudkom, jego znaczeniu i konsekwencjom w świetle naszej sprawy baczniej się przypatrzeć.

Rozpatrując istotę ochotniczej służby wojskowej naszej młodzieży szkolnej, zwróćmy uwagę na moment duchowy i fizyczny tej kwestji. Z pierwszego, to jest duchowego punktu widzenia, fakt ten oznacza w życiu chłopców naszych chwilę przełomową. Odrywa on ich przedewszystkiem od życia domowego i szkolnego, od dotychczasowych o skromnym zakresie obowiązków syna i ucznia, a przenosi w środowisko najzupełniej odmienne, w życie koszarowe, potem w okopy, na front; wyjmuje z pod władzy rodziny i szkoły, przenosi pod bezwzględną władzę wojskową; z chłopca, niejednokrotnie z dzieciaka, robi obrońcę ojczyzny, obywatela, który przed uzyskaniem pełnoletności i jakichkolwiek praw obywatelskich społeczno-politycznych składa i niesie najcięższą i najdroższą ofiarę - ofiarę życia i krwi.

Dość zważyć którykolwiek z tych momentów, by ocenić ogromną doniosłość ich w psychicznych przeżyciach chłopca.

Nie mniej głęboko sięgają momenty fizyczne. Zapał patrjotyczny, idea solidarności, poniekąd wstyd porwały w szeregi ochotnicze wszystkich niemal bez wyjątku chłopców od 16, a nawet 15 lat w górę. Komisje przeglądowe, o ile mi wiadomo, zupełnie zresztą rozumnie, klasyfikowały ich bardzo oględnie i choć dzieciaki, a nieraz i chorowici dopraszali się o grupę A (frontową), odsyłały ich do domu lub przeznaczały do grup B i C, to jest do służby łącznikowej, wartowniczej i kancelaryjnej. Pomimo to setki i tysiące znalazły się w bardzo ciężkich i trudnych pod względem fizycznym warunkach. Znane powszechnie chyba odżywianie wojska, ujemne z konieczności warunki higjeniczne (brak czystej bielizny, mydła, robactwo), a przedewszystkiem trudy

ćwiczeń i marszów wojskowych, nie mówiąc o wyczerpaniu nerwowem wobec grozy ataku i walki, wszystko to w ogromnej większości wypadków przerasta siły nie rozwiniętych jeszcze młodych organizmów, zwłaszcza gdy weźmiemy na uwagę jakość tej młodzieży szkolnej, która, będąc dzieckiem wojny, z natury rzeczy od lat szeregu źle się odżywiała i normalnie rozwiniętą pod względem fizycznym żadną miarą nazwaną być nie może. Względy te bezwątpienia obniżają wartość bojową armji ochotniczej, ale z drugiej strony potęgują w niemałym stopniu wartość wewnętrzną tej służby dla Ojczyzny.

Jeżeli zaś całkowita wartość ta zależy, jak wszędzie, od pobudki, to z radością podnieść możemy jej wysoki poziom moralny. Młodzież nasza niemal wszystka w ostatnich wypadkach szła do wojska z czystej i szlachetnej, entuzjastycznej miłości Ojczyzny. Gdy zbałamucony agitacją, często nie uświadomiony narodowo lud wiejski wahał się, a nawet (początkowo) uchylał się od poboru i służby wojskowej, synowie tego ludu w szkołach naszych chowani, z dziećmi inteligencji pospołu stawali w szeregi, niosąc młodość swą, życie i krew w ofiarnej służbie, w ekspjacji, za tych, co iść nie chcieli. „Zaciągnąłem się do wojska, by czynem stwierdzić to, co zawsze głosiłem w szkole"... pisze mi z Warszawy uczeń klasy VIII., jeden z najbardziej wyrobionych chłopców, jeden z najstarszych sodalisów.

Tu i ówdzie, u jednostek słabszych moralnie, zaważyły względy lenistwa, wyrwania się z pod domowej opieki, pęd do przygód, nowości — może sławy, zaspokojenie ciekawości młodzieńczej; ale, jak wspomniałem, w ostatnich dniach grozy i niebezpieczeństwa, była ich stosunkowo znikoma ilość. Motywem głównym, zasadniczym, dominującym — była czysta, serdeczna, płomienna miłość Ojczyzny. I za to młodzieży naszej cześć!

Jeszcze jeden moment tej całej sprawy musimy rozpatrzeć, moment może najważniejszy, to jest jej bezpośrednie konsekwencje.

Młodzież nasza ma wrócić do szkoły i kontynuować swe studja. Pomijam tutaj tę aż nadto znaną trudność zabrania się do pracy umysłowej po przerwie nieraz długiej bardzo, po odwyknięciu od ćwiczenia władz intellektualnych, bo spieszno mi dotknąć następstw moralnych służby wojskowej naszych uczniów.

Pod tym względem, zdaje mi się, w kołach pedagogicznych do dziś dnia panuje zasadnicze nieporozumienie, któ-

remu w pierwszej chwili, zwłaszcza po „ukraińskiej potrzebie“ z r. 1918 ja sam uległem. Z poglądem naszym na moralną wartość i moralne konsekwencje służby wojskowej zrosły się reminiscencje z dawnych pokojowych, austrjackich czasów, gdzie wojsko powszechnie i z natury swej uważane było za rozsadnik skrajnej demoralizacji, gdzie wszyscy niemal żołnierze wiecznie włóczyli się z jakiemiś podejrzanemi osobami i odwiedzali domy publiczne. Z tych to reminiscencyj mimowoli z pewnością rodziło się w sercu ojca czy matki, katechety, jak i każdego kochającego młodzież nauczyciela, uczucie jakiegoś żalu, jakiegoś przygnębienia na myśl o poborze i służbie wojskowej naszych chłopców, choćby ona trwała jeden rok tylko, jak to u „jednorocznych ochotników“ bywało. Nie chcę przesądzać, czy po latach, w życiu koszarowem, garnizonowem i w polskiej armji te obawy nie będą na miejscu, choć wszystko zdaje się już dziś przeciw temu wskazywać. W każdym razie możemy stwierdzić, że od dwóch lat istnienia tej armji, istnienia w nie ustającym niemal boju lub w przygotowaniach do niego, poziom moralny choćby z samej konieczności raczej się podniósł niż opadł. Księża, którzy mieli sposobność słuchania spowiedzi wojska naszego, mogliby to z pewnością na ogół potwierdzić. Ot — po prostu na demoralizację niema czasu i naprawdę brak sposobności. Twierdzenie moje opieram zarówno na bardzo licznych listach uczniów z wojska, jak na rozmowach z nimi po powrocie z szeregów, jak wreszcie na ostatniej autopsji.

Zaraz po powrocie kilkunastu chłopców mych z kampanji ukraińskiej w zimie i na wiosnę 1919 roku starałem się wybadać stan ich moralny, aby widzieć, jakie środki przedsięwziąć zarówno względem nich samych, jak względem ich zagrożonych ewentualnie, a pozostających bez przerwy w gimnazjum kolegów. Na szczęście obawy moje okazały się niemal płonne.

Kreślili z całą prostotą przebieg jednego dnia za drugim to w okopach, to na „pancerce“, to w marszach i zawsze okazało się, że na „zbytki“ nie było czasu. Niektórzy wyznawali, że w wojsku nauczyli się „kląć i kraść“ — ale jedno i drugie, jak twierdzili, tylko „z potrzeby“ i tylko na wojnie. Zresztą znikało to z powrotem do szkoły. O cięższych wykroczeniach mogłem z tych rozmów u jednego, najwyżej u dwóch wnioskować i to jeszcze nie całkiem na pewne.

Najgorsze niebezpieczeństwo — to jest pod względem szóstego przykazania — najczęściej, o ile mne przynajmniej wiadomo, ogranicza się w obecnych warunkach do obcowania z jednym, drugim starszym żołnierzem, który osobliwszą, a zrozumiałą z natury zła. satysfakcję znajduje w opowiadaniu „świństw", jak to zowie gwara studencka — i w imponowaniu niemi młodszym „żółtodzióbom", w wyśmiewaniu ich dzieciństwa i niewinności. Niebezpieczeństwo to groźne, nie przeczę, ale groza jego w ogromnej mierze zależy od stopnia duchowego wyrobienia naszych wychowanków i reagowania przez nich na silną nieraz bardzo pokusę.

Drugie niebezpieczeństwo widzę w opłakanym bądź co bądź stanie praktyk religijnych w armji, której potrzebom nie może podołać ciągle jeszcze szczupła i niejednokrotnie (choć nie zawsze) przeciążona pracą ilość kapelanów wojskowych. Modlitwa ranna i wieczorna (tj. pieśń „Kiedy ranne" i „Wszystkie nasze" — czasem (?) „Rota" Konopnickiej) jest dzięki Bogu obowiązkowa, ale prywatną modlitwę mówić w koszarach, czy gdzieindziej zwykle nie sposób przeciętnemu chłopcu, który nie chce narazić się na drwiny i docinki bardzo przykre, choć najczęściej może nie tyle z wrodzonej złości, ile z ducha przekory i kłótliwości płynące. Bardzo często więc chłopcy nasi wprost zapomnają o modlitwie w ścisłem tego słowa znaczeniu, a nie będziemy dziwić się temu, wspomniawszy, jak powszechnie zdarza im się to w normalnych szkolnych warunkach.

Podobnie jest z kościołem, a właściwie ze słuchaniem Mszy świętej i to, rzecz dziwna, szczególnie w większych miastach. Wspólnie idą rzadko (bodaj, że raz na miesiąc) a prywatnie nie mogą, bo zwykle przedpołudnie zajęte w koszarach aż do rozkazu dziennego i obiadu. „Od miesiąca, proszę Kochanego Księdza Katechety, nie byłem zupełnie w kościele" — pisze mi uczeń — ochotnik z Łodzi. To samo słyszałem od chłopców w Krakowie. Prawda, że były to chwile najbardziej gorączkowe, bo w lipcu i sierpniu bieżącego roku. W mniejszych miastach po kwaterach jest pod tym względem lepiej. W każdym razie dla religijnego życia młodzieży to dłuższe oddalenie od Boga, kościoła i kapłana uważam za bardzo niebezpieczny moment jej służby wojskowej.

Wspomniałem wyżej, że stopień tego niebezpieczeństwa zależy niemal wyłącznie od stopnia wyrobienia duchowego chłopca, zależy od stanu moralnego, w jakim katecheta wy-

słał go do wojska i pozwolę sobie twierdzić z najgłębszem przekonaniem, że uczciwa praca duszpasterska w szkole wielkie tu istotnie i miłe przynosi owoce i że tutaj niejako okazuje się jej wewnętrzna treść i wartość bezględna. Bóg sam nie dopuści, by ginąć miały dusze młode, które zrosił pot i użyźnił znój rzetelnej pracy kapłańskiej. Pod tym względem dzisiejsza wojaczka młodzieży naszej drogiej poważnem jest dla nas memento.

Boski Nauczyciel niejednemu z nas przecież nie poskąpi chwil pociechy i radości serdecznej...

„Prosiłbym Księdza Profesora... mam prośbę.. jabym tak chciał się porządnie wyspowiadać...“ mówi mi spotkany przypadkiem w Krakowie uczeń kl. VIII. w mundurze ochotnika wojsk technicznych. „I owszem, mój drogi, wstąpmy do najbliższego kościoła..“ Inny mówi: „Wkrótce wyjedziemy stąd na front, — muszę przedtem iść do spowiedzi“. A oto czytam znów przy końcu listu z Modlina: „Postaram się Kochanemu Księdzu w przyszłym liście napisać, że byłem do Komunji św..“

Przechodzę do wniosków konkretnych.

Pójdą one w dwóch kierunkach.

Najpierw pozwolę sobie wielki nacisk położyć na stosunek nasz do uczniów — żołnierzy w bieżącej chwili. Chodzi mi o utrzymanie z nimi możliwie ścisłego kontaktu, czy to pisemnie, czy osobiście. Pomimo wszystko zawsze przecież służba wojskowa, zwłaszcza frontowa pozostanie „wojskową niedolą“. A ponoś w niedoli najlepiej poznaje się prawdziwych przyjaciół. Bądźmy prawdziwymi przyjaciółmi naszych drogich żołnierzyków-uczniów, gorąco, serdecznie pamiętajmy o nich — przedewszystkiem we Mszy św., w modlitwie. I niech oni to czują, że związek nasz z nimi nie zerwał się, że modlitwa nasza i myśl nasza idzie za nimi i z nimi, że z serca troskamy się o ich losy i niebezpieczeństwa.

Poświęćmy chwilę drogiego czasu najpierw, by zebrać ich adresy wojenne, potem, by z nich możliwie często korzystać. Jakąż pociechą serdeczną dla chłopca będzie polowa kartka od katechety. „List Księdza czytaliśmy tu wszyscy po kolei — a nawet obcy prosili o pozwolenie przeczytania“. Nie wątpię zresztą, że pociechy doznamy i my sami — i nie małej. A ileż dobrego zdziałać możemy, jak głęboko, na całe życie, zapisać się niezatartemi głoskami młodzieńczej wdzięczności w duszy. A jeśli możliwe, poświęćmy

i trochę pieniędzy na wyjazd do nich, zwłaszcza do szpitala, by chorych, rannych, cierpiących pocieszyć, do serca w matki zastępstwie przycisnąć, podnieść na duchu, a może i wpływem swoim, prośba u władzy, u ludzi dobrej woli jakąś ulgę czy p moc wyjednać.

Powtóre zaś równie mocno — a może i mocniej jeszcze podkreśliłbym moment blizkiego może powrotu ich ze służby na szkolną ławę.

Wniknijmy głęboko w psychologję takiego chłopca, starajmy się jak najlepiej stan jego duchowy zrozumieć, jak najsubtelniej odczuć. Chłopiec ów — to już nie ten siódmak czy ósmak, który żegnał się z nami z dziecięcym uśmiechem wesołości, że świadectwem w ręku, w czerwcu 1920 roku. Ileż ta dusza młoda przeszła, przeżyła; ile wrażeń niesłychanie głęboko wyryło się w niej, ile przybyło wiadomości, ile poznania życia i jego tajemnic, może tragedyj i brudów... Wyszedł może dzieciak — pusty, wesoły, trzpiot, wraca— dojrzały mężczyzna, nie wiekiem — lecz doświadczeniem i przeżyciem. Chciejmy to zrozumieć i zastosować we wzajemnych stosunkach. I w tym celu wyzyskajmy pierwszy moment, pierwsze zaraz spotkanie. Gwałtowne i bezpośrednie naginanie chłopca do dawnej formy życia, traktowanie go z góry, może z politowaniem — bo i to się zdarzało — jako zaniedbanego w przedmiocie, surowe wymagania stawiane zaraz na wstępie, wykopią na pewne przepaść nie do przebycia. Były żołnierz wie, że bronił Ojczyzny, że narażał zdrowie i życie, że wrócił może już na zawsze wyczerpany i chory i z jednej strony słusznie domaga się poszanowania swej obywatelskiej, jak wyżej wspomniałem, godności, z drugiej łaknie ciepłego słowa uznania i miłości. Dać mu jedno i drugie jest naszym obowiązkiem.

Zważmy dalej, że powrót naszego chłopca do szkoły, to nowy przełom w jego życiu i znów przełom ciężki i niemały. Widzieliśmy już, że on odwykł od intelektualnego wysiłku, od pracy nad książką, od szkolnych wymogów. Wchodząc w jego położenie i nastrój, wyjaśnijmy mu z jego punktu widzenia powrót do pracy dla miłości Ojczyzny. Niech ta praca wyda mu się dalszym ciągiem ojczystej służby, gotowaniem się a sumiennem, szczerem do jakna lepszego spełniania obowiązków obywatelskich, które pełnić począł niedawno tak wzniośle, tak ofiarnie.

W myśl tego wszystkiego uważałbym za bardzo pożądane w razie demobilizacji ochotników, która pewno równocześnie dla studentów przynajmniej nastąpi, urządzenie

dla nich krótkich, wspólnych jakby rekolekcyj, zakończonych dziękczynną za szczęśliwy powrót i błagalną o błogosławieństwo w nauce i pracy spowiedzią i Komunją świętą. Można je złączyć z uroczystem nabożeństwem żałobnem za poległych. W egzortach rek lekcyjnych nie braknie sposobności, by im powiedzieć, co o nich myślimy, co dla nich czujemy, by im ułatwić ponowne z pomocą Bożą przejście ciężkiej chwili, zmiany trybu życia i pracy.

Wreszcie jedna kwestja jeszcze, wyżej już dotknięta. Chłopcy wracają po przerwie w nauce i nie tak prędko będą mogli nadrobić braki w nauce religji, jak i we wszystkich innych przedmiotach. Bywają nauczyciele, którzy albo domagają się z dziwną i niezrozumiałą surowością jaknajdokładniejszego wyrównania tych braków, lub też, wprost przeciwnie, patrzą na wszystko przez palce i wszystko gotowi darować. Mogą do nich należeć i pewno należą i XX. Katecheci. I jedno i drugie stanowisko jest zupełnie fałszywe; i jedno i drugie połączone z krzywdą młodzieży i społeczeństwa. Nie wolno nam chłopców zniechęcać i rozgoryczać, ale nie wolno też wypuszczać ich ze szkoły jako umysłowych niedołęgów. Litościwa pobłażliwość nasza obniżyłaby przecież wysoką wartość ich całego poświęcenia.

A więc? Zdaje mi się, że jedynem wyjściem bardzo prostem, a zarazem pięknem i szlachetnem, będzie udzielenie tej młodzieży chętnej i bezinteresownej pomocy po za godzinami szkolnemi w formie wskazówek, redukcji materjału, wyjaśnień, odpytywań partjami i to przez całe grono uczące w danej klasie. Byłyby to jakby wojenne „komplety", owiane serdeczną życzliwością i prawdziwą miłością dla młodzieży. W gimnazjum zakopiańskiem w r. 1915 urządzono takie lekcje dla rozbitków z pamiętnego wschodniego Legjonu. Uczniowie ci z przedziwnem zaparciem wśród ostrej zimy ścinali i rąbali drzewo w lasach, by się utrzymać, a wieczorami przy łojówkach, w baraku, z pożyczonych książek uczyli się, jak mogli. Pomogliśmy im, stwarzając osobny popołudniowy rozkład lekcyj, oczywiście bezpłatnych, otwierając im szkolne bibljoteki i zbiory. Wiedeńskie Ministerstwo Oświaty na wniosek Rady szkolnej zezwoliło na odrębną, specjalną komisję egzaminacyjną dla wszystkich naraz trzech ówczesnych typów szkoły średniej (gimn., szkoła real. i gimn. real.). Uwolnieni przez nas od taks egzaminacyjnych, chłopcy zdali wszystko uczciwie i uszczęśliwieni i wdzięczni opuścili podtatrzańską szkołę. Dziś ta sama pomoc będzie konieczna, a dobrzeby było, gdyby ofiarna

inicjatywa do niej wyszła na konferencjach grona nauczycielskiego właśnie od XX. Katechetów, tych „urodzonych ojców“ i opiekunów młodzieży.

A wszystko z miłością. *Ante omnia autem... charitatem habentes...* (I. Petr. 4, 8). Niech z tym najpiękniejszym wysiłkiem młodzieńczej szlachetności i entuzjazmu narodowego, niech z tem serdecznem wspomnieniem młodzieńczej obrony zgubą zagrożonej Ojczyzny, wspomnieniem na całe życie — na całe życie złączy się i zwiąże nierozerwalnie świetlana postać kapłana, przyjaciela i ojca. A wtedy snadnie po za nią dojrzy nasz młodzieniaszek dziś i w przyszłości nieraz — Boską Postać Tego, który powiedział: *„Pókiście uczynili jednemu z tych braci mojej najmniejszych, mnieście uczynili* (Mat. 25, 40). A przeto stanie się nasza pedagogja i tutaj taką, jaką być winna w swej istocie i w swym celu ostatecznym i najwyższym, stanie się tą, o której marzył stary Gerson, której posłannictwem zawsze i we wszystkiem: *trahere parvulos ad Christum...*

Zakopane. *X. Józef Winkowski.*
sierpień 1920.

Rok kościelny i rok słoneczny.

Egzorta dla dzieci[1]).

Skończyły się skwary letniej pory roku i prace tej pory. Nie słychać już śpiewów żniwiarzy ani nawoływań rolników, zwożących swoje plony do stodół. Zbliża się cisza jesieni, jej słoty i smutki, a za nią mrozy i zawieje śnieżne. I żal się budzi w sercach ludzkich za tem, co minęło i już nie wróci i nasuwa się nam pytanie: czemu tu niema nic stałego, czemu tyle trudu i smutku każdy rok z sobą przynosi, czemu tak często zasłaniają nam czarne chmury złote oblicze słońca? Czemu po dniach pięknych przychodzą inne, w których nie możemy cieszyć się życiem, bo czujemy się osłabieni i przygnębieni? Ale m y d z i e c i Kościoła katolickiego, przeżywamy obok roku słonecznego jeszcze inny rok, daleko dla nas droższy: r o k k o ś c i e l n y, w którym każdy dzień przynosi nam pociechę i umocnienie na duchu, jeżeli tylko chcemy pamię-

---

[1]) Według X. H. Stieglitz'a (z pewnemi zmianami) „Kinderlehren über das Kirchenjahr“. Wyd. 2e Kösel.. Kempten u. München. Stron 197. Zwracamy uwagę XX. Katechetów na te nauki proste i praktyczne.

tać o tem, co nam te dni przypominają. Posłuchajcie więc dzisiaj, kochane dzieci, krótkiej nauki o tym roku kościelnym, jak on wchodzi w rok słoneczny, jakie są jego pory i jakiem on jest dla nas dobrodziejstwem.

1. Rok kościelny zaczyna się z początkiem adwentu. Wyraz łaciński „adwent" znaczy tyle co „przyjście." Czyje przyjście? Dzieciątka Jezus. Te cztery tygodnie przypominają nam czasy, w których ród ludzki oczekiwał z niewymownem upragnieniem przyjścia swojego Zbawcy. Zimno wtedy jest i smutno. Ziemia pokryta jest śniegiem, jakby całunem grobowym, rzeki i stawy twardą powłoką lodową. Życie przyrody zamarło, słońce pokazuje się rzadko, a jeśli się pokaże, świeci blado, nie grzeje, nie daje życia roślinom. Zwierzęta kryją się w norach podziemnych, zapadają w sen zimowy; — ludzie tulą się pod swemi strzechami, przy swoich ogniskach, — jeżeli mają ogniska, jeżeli nie muszą ginąć w uściskach nielitościwych mrozu. Podobnie było w czasach, kiedy pogaństwo panowało na ziemi, kiedy tylko w małym jej zakątku, w Palestynie cześć oddawano prawdziwemu Bogu. Gdy wtenczas Pan Bóg spoglądał z wyżyny niebieskiej na ziemię, nie widział na niej prawie żadnych kwiatów, prawie żadnych owoców. Dlaczego? Bo nie kwitnęły cnoty i mało spełniano dobrych uczynków. Jak burze i zawieruchy zimowe, tak szalały na ziemi krwawe, zaciekłe walki między narodami. Grzechów i występków było tyle jak płatków śniegu w zimie; wiara i miłość prawie zamarły i były pokryte jakby całunem grobowym. Modlono się jeszcze i spełniano ofiary, nakazane przez religje pogańskie, ale te religje były pełne błędów i fałszów potwornych. Biedni poganie żyli jak wędrowiec zabłąkany w lesie, wśród ciemności nocnych, któremu nikt nie przychodzi z pomocą, nikt dobrej nie wskaże drogi.

2) Ale potem ulitował się nad nimi Ojciec niebieski. Wśród ciężkiej zimy ukazał się około północy przedziwnie miły kwiatek na ziemi. I Aniołowie zstąpili z nieba i radowali się jego wonią. A zanim wrócili, przyniósł jeden ludziom nowinę wesołą: „Oto zwiastuję wam radość wielką... w mieście Dawida narodził się wam dziś Zbawiciel, który jest Chrystusem Panem". A potem wszyscy razem Aniołowie śpiewali: „Chwała Bogu w niebie i na ziemi; pokój ludziom dobrej woli!"[1]). W dzień Boż. Narodzenia, zeszło na ziemi Boże ziarno, które ma róść i nową wiosnę

[1]) Łuk. 2, 10 — 14, w przekładzie X. Szczepańskiego.

przynieść światu. Od Boż. Narodzenia mamy znów dni coraz dłuższe i słonko wznosi się wyżej na niebie. Prawda, że przychodzą jeszcze dni zimne i często późny mróz zwarzy kwiatki, jeżeli zawcześnie wyglądają z pod ziemi. Wtedy umierają te piękne dzieci wiosny i znikają pod całunem śniegu.

3) I nasz kwiat niebieski złamała złość ludzka; najdroższy nasz Zbawiciel umarł na krzyżu i złożono go w grobie. Ale dnia trzeciego zmartwychwstał w ciele już nieśmiertelnem. W czasie, gdy rośliny kiełkują z pod ziemi, która świeżą okrywa się zielenią, gdy wszystko w przyrodzie powstaje z martwoty zimowej do nowego życia, obchodzimy z radością święta wielkanocne, pamiątkę Zmartwychwstania Pańskiego. I wtedy Kościół nakazuje wszystkim swoim dzieciom oczyścić duszę z grzechu i zjednoczyć się z P. Jezusem przez Komunję św.

4) Ale przemija i wiosna, pora kwiatów. Z kwiatów dojrzewają owoce w gorącej porze letniej. Widziałyście już, dzieci, jak w gorących dniach letnich drzewa cicho stoją od rana do wieczora i wciągają w siebie każdym listkiem swoim światło słoneczne i ciepło na to, żeby ich owoce dojrzały i napełniły się słodyczą. Tak mamy robić i my dzieci Boże. W każdym roku kościelnym przychodzi wielkie święto letnie. Przynosi nam ono światło i ogień z nieba: ogień Ducha św. Jego łaski wlewają ciepło w dusze nasze, żeby dojrzały dla nieba. O Matce Najśw. mówimy: „Łaskiś pełna, Pan z Tobą" — t. zn. „pełna jesteś Ducha św." I nam Duch św. daje swoją łaskę, żebyśmy dojrzeli i stali się słodkimi, jak owoce drzew, przez nabycie cnót chrześcijańskich. I wy, kochane dzieci, macie z każdym rokiem wzrastać w dobrem, coraz lepiej służyć P. Bogu, coraz więcej pociechy sprawiać waszym rodzicom i nauczycielom. A skoro przyjdzie koniec, mają was zebrać Aniołowie, jak kłosy dojrzałe, do stodoły niebieskiej.

5) Jak na ziemi po orce i siejbie przychodzi ż n i w o i jesień ze swoimi owocami, tak dla każdego z nas, prędzej czy później, nadejdzie czas żniwa. Codziennie Bóg wysyła swoich żniwiarzy, Aniołów śmierci, żeby zbierali na ziemi owoce i zanosili je do domu wieczności. Oglądają te owoce, żeby zobaczyć, ile są warte i na jaką zasługują nagrodę. To też rok kościelny przypomina nam boską uroczystość żniwiarską; przypada ona na późną jesień, na dzień Wsz. Świętych i mówi nam o tych szczególnie za-

służonych dzieciach Bożych, o tych owocach dojrzałych dla nieba. A dzień zaduszny przypomina nam te dusze, które na ziemi jeszcze nie dojrzały, bo nie pozwoliły, żeby je dosyć rozgrzał ogień Ducha św. Więc jeszcze raz musiały pójść w ogień, — ogień czyścowy, zanim będą przydatne do niebieskiej uczty weselnej. A może wiele z nich zostanie w tych płomieniach aż do wielkiego żniwa, które odbędzie się w dzień Sądu Ostatecznego!

6) Widzicie więc, dr. dzieci, jak święte czasy roku kościelnego wchodzą w cztery pory roku. Dzień Bożego Narodzenia zakończył długą zimę, co panowała na świecie przed przyjściem P. Jezusa. Wielkanoc jest świętem wiosny. W dniu Zmartwychwstania Pańskiego powstają i dusze ludzkie z grobu, w który wtrącił je grzech, jeżeli chcą się ocalić od śmierci wiecznej, jeżeli nie chcą usłyszeć straszliwego wyroku: „Precz ode- Mnie przeklęci w ogień wieczny, który przygotowano dla Szatana i aniołów jego!“ (Mat. 25, 41). A Zielone Świątki to czas lata dla duszy. Duch św. udziela jej swojej łaski, zapala ją ogniem niebieskim, aby dojrzała i uświęciła się. A kiedy wkońcu przyjdzie czas żniwa, sąd szczegółowy, a wreszcie Sąd Ostateczny, wtedy was przyjmą do wielkiej społeczności Świętych w niebie, jeżeli sobie na to zasłużycie.

Dzieci kochane! Są rośliny, które tylko przez jeden rok żyją, a potem giną. Są dzieci, który wnet po chrzcie umierają: dla tych niema r o k u kościelnego. Ale są też rośliny, drzewa, które z każdym rokiem wzrastają, póki nie zetnie ich człowiek lub nie obali burza lub uderzenie piorunu. Do takich drzew wyście powinny być podobne. Z każdym rokiem ma wzrastać nie tylko ciało, ale i dusza wasza i przynosić coraz obfitsze owoce dla nieba. Czego w jednym roku kościelnym zaniedbałyście, to możecie zrobić jeszcze w roku następnym, jeżeli go Pan Bóg pozwoli wam doczekać, — bo Bóg jest miłosierny i czeka z wielką cierpliwością na owoce, które mają przynieść jego sady i winnice. Powinnyście robić tak, jak najdroższy nasz Zbawiciel, który powiedział: „Ja mam pełnić dzieła Tego, co Mnie posłał, póki dzień jest; nadchodzi noc, w której nikt nie może działać“ (Jan 9, 4). I wy macie czynić dobrze, o ile tylko możecie, dopóki nie skończą się dni wasze, bo przyjdzie noc, w której nic nie będziecie mogli już zrobić, kiedy P. Bóg was odwoła z tej ziemi. Żaden z was nie wie, czy ten rok kościelny nie będzie ostatnim

rokiem jego życia na ziemi. Ale to jedno wiemy wszyscy: kiedy Pan Bóg nas wezwie do siebie, wtedy musimy być dojrzali — dojrzali nie dla piekła, ale dla nieba! Amen.

X.



Kurs katechetyczny w Poznaniu.

Dnia 31 lipca b. r. zakończył się pierwszy kurs katechetyczny dla prefektów szkół średnich, który zgromadził 114 księży z całej Polski.

Celem kursu było pogłębienie wiadomości teologicznych i ustalenie zasad metodycznych odnośnie do wyższych klas szkoły średniej.

Cel pierwszy został niewątpliwie osiągnięty.

Znakomity apologeta X. Biskup Czesław Sokołowski przedstawił żywo w szeregu zajmujących wykładów filozoficzne podstawy apologetyki (na część dogmatyczną nie starczyło czasu z powodu skrócenia kursu).

Prelegent z etyki O. Jacek Woroniecki O. Pr. był tym magnesem, który ściągał na wykłady nawet księży nie wpisanych oficyalnie na kurs.

Szanowny prelegent poruszył szereg zagadnień z zakresu etyki ogólnej, opierając się wszędzie i z całą konsekwencyą na św. Tomaszu z Akwinu, co odnośnie do zagadnienia wolności woli wywołało pewną rewolucyę w umysłach słuchaczy.

Wprost znakomite były jego prelekcye o cnotach chrześcijańskich, które stanowczo powinny być wydrukowane, by XX. prefekci mogli zapełnić lukę w wykształceniu swojem powstającą obecnie wskutek kazuistycznego wyłącznie traktowania teologii moralnej w seminaryach. „Umiar cnót", obowiązek radości, paralela cnót przyr. i nadprzyrodzonych, connexio virtutum, istota charakteru, roztropność, wstrzemięźliwość, eutrapelia, wielkoduszność, długomyślność, sprawiedliwość — oto główne punkty tych wykładów; które były dla niejednego wprost rewelacyą.

Porywającym wykładem o doskonałości chrześć. i o życiu mistycznem zakończył O. Jacek swe prelekcye, które uwagę słuchaczy przykuwały i wywołały kilkakrotnie huczne oklaski.

Z zakresu pedagogiki mówił X. prof. Z. Bielawski o środkach naturalnych kształcenia charakteru u młodzieży w okresie dojrzewania, analizując psychikę młodzieńca, podawał trafne wskazówki, jak wpływać na serce jego i wolę. Ważny ten

dział pedagogiki powinien być na przyszłym kursie w znacznie szerszej mierze uwzględniony.

X. prałat Chotkowski, prelegent z historyi Kościoła w Polsce, trudne miał zadanie, gdyż wyznaczono mu ostatnią godzinę przedobiadową; wybrnął w ten sposób, że w wykładach uwzględniał przedewszystkiem szczegóły nieznane a zajmujące i rozmaite pocieszne anegdoty historyczne, dowcipnym zaś sposobem wykładu wywoływał niejednokrotnie salwy śmiechu.

Tak więc cel pierwszy, pogłębienie wiadomości, został w znacznej mierze osiągnięty.

Nie można tego powiedzieć o celu drugim.

Metodyka nauczania religii w klasach najwyższych — to teren dziewiczy, nie obrobiony. Zainteresowanie było wielkie. Niestety metodykę spotkał los kopciuszka. Na metodykę dogmatyki (X. prof Węglewicz z Warszawy), historyi (X. dr. Ratuszny ze Lwowa) i egzorty szkolnej (X. prałat Gralewski z Warszawy) wypadło razem 10 godzin, a więc niespełna piąta część godzin wykładowych. Co gorsza, nie urządzono nad tymi wykładami ani razu dyskusyi. A kwestye metodyczne wymagały przedyskutowania z natury swojej. To nie dogmat. Tu można być innego zdania. W dyskusyi okazałoby się, czy wskazówki prelegentów odpowiadają rzeczywiście życiu szkolnemu, czy ich teorya da się uczynić praktyką. Starsi prefekci dorzuciliby coś ze swych doświadczeń i uzupełniliby i sprostowali niejedno. Te ziarna, które prelegenci siali, mogły dopiero na gruncie dyskusyi zakiełkować i owoc przynieść.

X. Węglewicz i X. Ratuszny dali rzecz dobrą, starannie obmyślaną i przygotowaną. Obaj jednak wpadli w ten sam błąd, że za dużo czasu poświęcili na ogólne uwagi metodyczne, powszechnie znane; nie wystarczyło potem czasu na temat właściwy; dali zarys metodyki ogólnej, pominęli metodykę szczegółową. X. Węglewicz opierał niektóre swe wnioski na bardzo ciekawych tekstach uczniów klasy VII swego gimnazyum, zbyt nielicznych jednak, by z nich jakieś ogólne wnioski wysnuwać można. Prelekcye obu XX. prefektów należałoby wydrukować; stałyby się może zawiązkiem naszej literatury metodycznej.

X. Gralewski miał 3 wykłady. W pierwszym mówił o przymiotach kaznodziei. Drugi wykład warto streścić: Tematem egzorty — harmonia wierzeń katolickich i miłość Boga dla człowieka. Zasadniczo unikać zastosowań praktycznych; Jezus, nasz Mistrz, był teoretykiem; raz tylko był praktykiem,

gdy powrozami wyganiał kupczących ze świątyni. Sposób wygłoszenia: „Wygłaszając egzortę przez 10 minut, mówić o rzeczach wzniosłych w wysokiem napięciu“ (cytuję dosłownie). Szanowny prelegent nie brał pod uwagę egzort dłuższych i nie rozróżniał egzort osobnych dla niższego gimnazyum i dla wyższego. Wykład ten wywołał wprost przerażenie między prefektami z Małopolski. Jeśliby nam kazano według tej recepty urządzać dziesięciominutowe, pełne patosu egzorty wspólne dla dzieciaków i uczniów pod wąsem — cofnęlibyśmy się w czasy niemowlęctwa katechetyki[1]).

W trzecim wykładzie polecił prelegent urządzać rekolekcye w ten sposób: Veni Creator, 1 nauka (popoł). i 2-ga (rano) — via purgativa. Spowiedź (popoł). 3 nauka (rano po Komunii św.) i 4-ta (popoł.): życie Chrystusa, 5-ta nauka (rano po Komunii św. drugiej): o Duchu św. Zakończy błogosławieństwo Najśw. Sakramentem. Mówić tylko sub respectu aeternitatis według św. Ignacego; to zapada głębiej w duszę, niż moralizowanie.

Wykłady odbywały się początkowo tylko rano od g. 9 tej—1-ej, potem, gdy sytuacya polit. nagliła do powrotu, także wieczorem od 5 ej—7-ej. Po kolacyi i błogosławieństwie zbierali się księża na dyskusyę, w której prelegenci wyjaśniali kwestye niejasne lub sporne z zakresu wykładów; nadto poruszano sprawy aktualne. Największą dyskusyę wywołały sodalicye Maryańskie. Przedstawiciele poszczególnych dyecezyi całej Polski referowali, jakie stanowisko wobec sodalicyi zajmuje społeczeństwo, nauczycielstwo i duchowieństwo danej dyecezyi; okazało się, że społeczeństwo katolickie wszędzie życzy sobie sodalicyi, prefekci nie wszędzie, nauczycielstwo jest przeważnie obojętne. Powzięto jednogłośnie rezolucyę domagającą się zakładania kierowanych przez prefekta sodalicyj Maryańskich szkolnych, a odpowiednio do okoliczności także międzyszkolnych.

Wielkie zainteresowanie wywołały nowe plany nauki religii, które po zatwierdzeniu przez Episkopat mają obowiązywać stopniowo od kl. I-ej i V-ej już w najbliższym roku szkolnym. X. Koronat Piotrowski, prefekt z Siedlec, twórca programu, przedstawiał główną myśl programu: Trzy koła koncentryczne: klasy I—III nauka wiary na tle biblii (w kl.

[1]) Z tem zdaniem zgadzamy się zupełnie: jak każdy utwór homiletyczny, tak i egzorta powinna uwzględniać praktykę życiową; nie powinna też być zanadto krótką. *Dop. redakcyi.*

1-ej Bóg Ojciec, w 2-ej Syn Boży, w III-ej Duch św.), kl. kl. V i VI nauka wiary na tle historyi Kościoła, kl. VII i VIII nauka wiary na tle rozumowem (kl. VII dogmatyka i kl. VIII etyka). Klasę IV referował X. dr. Kazimierz Thullie ze Lwowa, któremu krakowski zjazd delegatów z kwietnia b. r. poruczył ułożenie na tę klasę planu nauki o „życiu chrześcijanina w obrzędach Kościoła".

W ożywionej dyskusyi zajęto wobec przedłożonych planów bardzo przychylne stanowisko i zaznaczono, że stanowią one wobec dotychczasowego nauczania wielki postęp.

Dyskusyom wieczornym przewodniczył zwykle prezes Związku prefektów X. Adam Pyzowski, nadto dwukrotnie X. wiceprezes Ratuszny i dwukrotnie X. Thullie.

Z grona księży wybrano dwie komisye międzydyecezyalne, które wypracowały projekt ustalenia tek tów modlitw katechizmowych i tekstów modlitw mszalnych.

Sprawozdanie nie byłoby zupełne, jeślibym nie wspomniał o jednej wielkiej korzyści z tego zjazdu: o poznaniu się i zbliżeniu prefektów z różnych dzielnic. Różnice wystąpiły silnie. Już w samym ubiorze. Królewiacy w sutannach z pelerynkami, Małopolanie w zwykłych sutannach lub w polskiej czamarze, Poznańczycy w długich surdutach z wysokimi butami, Pomorzanie w czarnem ubraniu z krawatką. Różnicy w obyczajach dzielnicowych należy przypisać nieporozumienie co do wiktu: zacni Poznańczycy, chcąc nas godnie przyjąć, zastawili stoły nader obficie nietylko mięsiwem, ale i bateryami butelek piwa; księża z innych dzielnic, gdzie się mniej je, a jeszcze mniej pije, byli mocno niezadowoleni, gdyż koszt dzienny wynosił 65 marek zamiast zapowiadanych 20 m., a już wprost zgorszeni byli abstynenci, którym, mimo wszelkich protestów, stawiano codzień butelki przed nos. Wystąpiły też silnie różnice co do metod katechetycznych. Królewiacy są za apologetyką[1]) raczej, niż za dogmatyką w klasie VII-ej w przeciwieństwie do Małopolski; razi ich bardzo modlenie się w klasie stojąco (w b. Królestwie uczniowie klęczą) itp. Najsilniej zarysowały się różnice w poglądach na nabożeństwa szkolne. Dobrze stało się jednak, żo można było te sprawy szczerze, sine ira et studio, omówić; przy dobrej woli, jaka wszystkich ożywiała i ciepłym, nawet serdecznym nastroju nietrudno było o zrozumienie się wzajemne i wytworzenie pewnej wspólnej platformy.

---

[1]) Por. nasz art. p. t. „W sprawie planu nauki religii w szk. śr." w Mies. Kat. z r. 1917 str. 499 i z r. 1918, str. 29 nn. (Dop. red.)

Kurs, który zapowiadał się świetnie, zamącony został tragicznymi wypadkami na froncie. Silne zdenerwowanie, konieczność powrotu do zagrożonych dyecezyi przyspieszyły zamknięcie kursu.

Po 12 dniach gorliwej, owocnej pracy zamknięto kurs 31 lipca.

Prezes X. Pyzowski dziękował prelegentom w nader wymownych słowach; przyrówał O. Jacka do słońca, X. Węglewicza do błyskawicy, X. Ratusznego do piorunu. Uznanie należało się też X. prokuratorowi Rankowskiemu, energicznemu gospodarzowi, X. Pyzowskiemu i X. Szkudelskiemu, czynnym w organizacyi kursu i X. Janickiemu, niestrudzonemu cicerone po zabytkach Poznania. Lecz najbardziej zasłużył na podziękowanie przezacny X. prałat Antoni Ciepliński, który nie tylko potrafił kurs znakomicie zorganizować i poprowadzić, lecz też zyskał sobie serdecznem, przyjacielskiem postępowaniem powszechnną sympatyę i szczere uznanie.

X. dr. Kazimierz Thullie.

Doroczny dorobek lwowskiego Koła katechetów.

Zebrania odbywały się co środy z wyjątkiem ferji świątecznych. Przeciętnie przychodziło 22 księży. Prelegentów było 5 kategorji: a) goście (X. wizytator Ciepliński, X. Superjor Haduch T. J., Prof. Walczak, Prof. Wolańczyk); b) profesorowie i docenci uniwersytetu (X. Wais, X. A. Gerstmann, X. S. Szydelski, X. S. Żukowski); c) Z kapituły metropolitalnej X. K. Dziurzyński, d) katecheci szkół średnich (XX.: Szmyd, Csesznak, Ciemniewski, Ratuszny); e) katecheci szkół wydziałowych (XX. Hausner, Długosz). Przeważnie zajmowano się sprawami wychowawczemi i tak omawiano obecny stan młodzieży szkół średnich, wydziałowych, sprawę egzort, pracy katechety nad wyrabianiem charakterów, obecnych organizacji młodzieży, nauki religji jako przedmiotu szkolnego, sodalicji Marjańskiej, kinoteatru. Z ogólno kształcących należy wymienić odczyt X. Waisa o spirytyzmie, X. Żukowskiego o kole homiletycznem (które się też i zawiązało), z innych o misjach powojennych X. Czesznaka, po którym powstało koło misyjne księży lwowskich pod przewodnictwem X. Inf. Czajkowskiego. Nadto pracowano w komisjach. Najwięcej trudu zadały sobie: komisja planów, która pod przewodnictwem X. Bielówki odbyła

kilkanaście posiedzeń dla ułożenia nowego planu dla szkół średnich, komisja dla kursu wakacyjnego i nabożeństw szkolnych. Od stycznia urządzało Koło rekolekcje miesięczne w semin. duchownem pod przewodnictwem X. Superjora Haducha T. J., na których było od 32—46 uczestników. Koło założyło ruchomą czytelnię czasopism (polskie, włoskie, francuskie, niemieckie). Kapituła metrop. lwowska wynajmuje za nizki stosunkowo czynsz lokal dla Koła i na tę zimę dała bezpłatnie 1/2 sąga drzewa. Plany na rok przyszły są bardzo poważne. Oby dało się je urzeczywistnić! *D.*

II. Zjazd Sodalicyj młodzieży.

Starożytna, sklepiona kaplica sodalicyjna przy kościele św. Barbary w Krakowie wypełniła się w piątek dnia 2. lipca b. r. dziwną rzeszą pobożnych. Z Polski całej na wezwanie Wydziału Naczelnego Związku Sodalicyj Marjańskich młodzieży szkół średnich zebrali się XX. Moderaorzy i delegaci na II. już swój Zjazd doroczny.

Kiedy młodzież, w liczbie około 100 przedstawicieli ustawiona szpalerem, witała Najprzew. X. Biskupa Sufragana Nowaka, który przybywa, łaskawie odprawić wstępne nabożeństwo, słusznie rzec można było, iż cała Polska" wita Księcia Kościoła. Stawili się wysłańcy sodalicyjni z Białej, Bochni, Brzeska, Chyrowa, Cieszyna, Częstochowy, Gniezna, Grodna, Kalisza, Kielc (2 sodalicje), Krakowa, Lwowa, Mielca, Nowego Sącza, Piotrkowa (2 sod.), Radomia, Tarnowa, Warszawy, Wieliczki, Włocławka i Zakopanego [1]).

Po błogosławieństwie N. Sakramentem udali się wszyscy zebrani do obszernej sali sodalicyjnej, gdzie przybyli wkrótce J. E. Najprzew. Książę Biskup Sapieha, X. Prałat Wądolny, proboszcz-infułat parafji Marjackiej, oraz grono XX. katechetów krakowskich i delegatów bratnich Sodalicyj męskich.

Zaledwo dzielnicowy Moderator b. Królestwa X. Marjan Wiśniewski z Warszawy, jako przewodniczący I. zebrania plenarnego otworzył Zjazd, nad Krakowem rozpętała się straszna burza. Przerażające węże błyskawic przelatywały po sali, tonącej w mroku i drżącej od nieustannego huku

[1]) Sodalicje poznańska i przemyska usprawiedliwiły nieobecność swoją wyjątkowymi warunkami.

piorunów... Garść młodzieży katolickiej odczuła w tem symbol huraganów i burz, z któremi jej walczyć przychodzi i przyjdzie — a mimo wszystko na stanowisku trwać i wytrwać do końca!

Referat młodziutkiego sodalisa z Chyrowa z dyskusją i rezolucje jednogłośnie przyjęte wypełniły zebranie, u którego kresu w porywających słowach przemówił X. biskup Nowak a Arcypasterz diecezji krakowskiej udzielił biskupiego błogosławieństwa.

Nazajutrz rano małe gromadki delegatów z XX. Moderatorami na czele dziwnie wzruszone zdążały na wawelską górę. U srebrnej trumny św. Stanisława biskupa i Męczennika, Patrona Polski i niewzruszonego Wiary świętej Obrońcy ze Mszą św. wyszedł dostojny Następca Jego na krakowskiej Stolicy Książę Biskup Sapieha. Zabłysło w promieniach rannego sł. ńca złote cyborjum i z rąk Księcia Kościoła setka młodzieży polskiej brała Chleb Żywota na pracę i walkę i wytrwanie. Nieporównana była to chwila w starej katedrze wawelskiej, która, jak stoi — choć dużo widziała — takiej jeszcze nie widziała Komunji.

U trumny Tego, którego członki posiekane okrutnie zrosły się cudownie — najmłodsze członki posiekanej i rozdartej, a oto cudem Bożym zrastającej się Polski jednoczyły się w Chrystusowej wierze i eucharystycznej uczcie Miłości...

Prześlicznie po Mszy św. przemówił do nich Książę Biskup. Wskazując zadanie Polski, broniącej u siebie chrześcijaństwa przed zbrojnym najazdem ze Wschodu — a pokojowym z Zachodu, w głębokich słowach wskazywał zadanie i Boże posłannictwo Sodalicyj Marjańskich naszej młodzieży.

Pod wrażeniem słów Jego potoczyły się całodzienne obrady. Na drugiem zebraniu przewodniczył Moderator dzielnicowy Małopolski i Śląska X. J. Winkowski, na trzeciem oklaskami witany Moderator Sodalicji z Gniezna X. dyrektor L. Łagoda. Nadto przeszło 2 godziny obradowali na osobnej konferencji XX. Moderatorzy i XX. Prefekci-goście.

Z gorącem wzruszeniem i uczuciem żalu w wieczór sobotni przyszło się nam żegnać! Czuliśmy wszyscy — i kapłani i młodzież — że dobrze nam było razem złączonym jedną ideą, jednem serca biciem... Rozjeżdżaliśmy się też z uczuciem siły Bożej, tkwiącej w nas i w naszych rosnących coraz bardziej zastępach i z nowym zapałem i nową ufnością do pracy.

* *
*

Taki był przebieg Zjazdu. A owoce? Dziś o nie pytać zawcześnie. Niby w ziarenku kryją się one w rezolucjach, które dla Wydziału Naczelnego Związku będą znów dyrektywą pracy, jak były rezolucje zeszłoroczne.

A rezolucje te są znamienne. Obok hołdu dla Stolicy św. i synowskiej uległości dla XX. Biskupów, Zjazd uchwalił jednogłośnie serdeczną prośbę do XX. Prefektów w Polsce o zakładanie dla braci młodej Sodąlicyj Marjańskich, przypomniał abiturjentom obowiązek przejścia do Sodalicyi akademickiej, uchwalił zakładanie sekcyj w Sodalicjach, obowiązek zajęcia się starszych Sodalisów najmłodszymi kolegami w gimnazjum, obowiązek współdziałania w każdej zbożnej pracy w szkole, zwłaszcza w harcerstwie, by wszędzie wnosić ducha Chrystusowego i Chrystusowe ideały.

Wspomiałem, że dziś zawcześnie, by osądzić owocność i Zjazdu i uchwał. Ale niech mi wolno będzie na podstawie przeszłorocznego Zjazdu i jego rezolucji, wprowadzonych już w czyn i wykonanie, rokować i tegorocznym przyszłość niegorszą.

W końcu parę cyfr z rocznego sprawozdania Naczelnego Wydziału Związku.

Liczy on do dziś 25 Sodalicyj uczniów szkół średnich w Polsce w 23 wyżej wspomnianych miastach. Członków 1625. W roku ub. sodalicyj 20. członków 1425). Skarb związkowy miał dochodu (z %, od poszczeg. Sodalicyj i z darów) 6.658·39 K, rozchodu 1.379·82 (w tem 510 K sama korespondencja). Egzamin dojrzałości złożyło w ub. roku szk. 139 abiturjentów-Sodalisów. Zasilą oni sodalicje akademickie w Warszawie, Lwowie, Krakowie już istniejące i projektowane w Lublinie, Poznaniu i Wilnie. Bibljoteki swoje posiada 17 Sodalicyj z 4373 książek; inne korzystają ze wspólnych. W 18 istnieją już sekcje (kółka), z tych w 14 eucharystyczne.

Sucha to i pobieżna statystyka — nie pracy, bo na jej skreślenie brak miejsca i czasu, — zresztą zróżniczkowana ona bardzo, zależnie od lokalnych warunków, w każdem mieście, w każdej szkole innych, lecz statystyka liczbowego stanu Sodalicyj młodzieży na ziemiach polskich. Od roku dopiero zorganizowano je w Związek, od roku dopiero stworzono w Wydziale Naczelnym ośrodek i ognisko pracy... A praca ta w obecnych warunkach trudno idzie, a przeszkody, niechęci, niewyrozumiałości piętrzą się czasem ponad miarę.

Zjazd krakowski — pominąwszy wszystko inne — powiedział nam gromkim głosem: Jesteśmy! Jesteśmy razem, razem modlim się i pracujem. I dużo nas — i będzie coraz więcej, da Bóg i Matka Najświętsza!

I w tem jego ideowe znaczenie największe. Owoce — da Bóg — przyjdą. Pomnijmy, że ziarno pada dopiero — i to na młode dusze, młodziutkie. Lat trzeba, by wzeszedł plon i ukazały się odrodzenia owoce. Ale plon wzejdzie i ukaże się napewne! *X. Józef Winkowski.*

Nowe książki.

Józef Kallenbach. Adam Mickiewicz. Dwa tomy (stron XVI. i 448 i 450 + XII. i 13). 17 ilustracji. Poznań 1918. Rzepecki. Cena 75 mk.

Jest to całkiem nowe opracowanie dzieła, które znakomity badacz i znawca literatury nasej wydał w r. 1897. Jeżeli już w pierwszej postaci swojej sprawiła ta książka prawdziwą i wielką przyjemność wszystkim wielbicielom Mickiewicza, to tem bardziej trzeba dziś powiedzieć o niej, że doskonale zapoznaje czytelników z jego żywotem i dziełami, chociaż obecne trudności wydawnicze zmusiły niestety autora do opuszczenia wielu rzeczy ciekawych i pouczających, które dopraszały się także uwzględnienia. I tak np. można było rozszerzyć znacznie rozdział poświęcony „Panu Tadeuszowi", porównując go z „Hermanem i Dorotą"; — powiedzieć więcej o mistycyzmie, wykazując, czem różni się od mistyki chrześcijańskiej itd. Ale w każdym razie trzeba podziwiać mistrzostwo, z jakiem powiodło się autorowi skupić to mnóstwo wiadomości w dwóch nie wielkich stosunkowo tomach. Po wydaniu pierwszem tej monografji o Mickiewiczu przyrosło dużo nowego materjału, dzięki odkryciu nieocenionego Archiwum Filomatów, listów dotąd nie znanych poety, badaniom Tretiaka, Sinki, Konst. Wojciechowskiego i wielu innych. Chodziło więc o to, żeby ten materjał uwzględnić, a przecież nie rozszerzyć objętości dzieła na większą ilość tomów, lecz „zastosować jego rozmiary do takiej ilości papieru, jaką w czasie wojennym z trudem największym mógł zdobyć księgarz wydawca" (str. XIV Przedmowy).

Zarówno część biograficzna jak i estetyczna książki zasługuje na największe pochwały. Wybornie np. ocenia

autor „Dziady“, których ideę przewodnią oświetla na str. 280—282 tomu I.; — bardzo trafnie charakteryzuje Towianizm i fatalne następstwa, spowodowane przez tę doktrynę, — która i dziś jeszcze ma swoich adeptów i zacietrzewionych obrońców (t. II. str. 332—404), — przyczem podnieść należy, że autor stoi zawsze na stanowisku katolickiem. Nie wahamy się też zaliczyć tego dzieła do najcenniejszych, jakie pojawiły się w ostatnich czasach w literaturze europejskiej.

Jan Kasprowicz. Marchołt gruby a sprośny. Lwów-Warszawa. 1920. Stron 288. Cena 100 mp.

Jest to utwór tak dziwaczny, tak fantastyczny, tak pełen pomysłów niejasnych, groteskowych, powikłanych, pełen zgrzytów i „złego śmiechu“, że bardzo trudno zdać sobie i czytelnikom sprawę z jego treści. Mamy tu „misterjum tragikomiczne, w czterech obrazach zamknięte“. Pierwszy wprowadza nas do domu rodziców Marchołta, u których zeszli się goście, aby uczcić prostackiem gadaniem i pijatyką dzień jego narodzin. Nie psuje im humoru groźny stan i śmierć matki. Zjawia się i groteskowy jakiś „król“ i uczestniczy nawet w pląsach, którymi kończy się obraz pierwszy. Osnowę drugiego obrazu stanowią „dzieje miłości i zaślubin Marchołtowych“. Król chce wydać za niego swoją córkę nieprawego łoża, która jest „wielce mądra“, ale już miała stosunek z faunem. Marchołt dowiaduje się o tem, ale żądzą opanowany, „bierze ślub“ z królewną w lesie; król błogosławi. Chór faunów i „panien leśnych“ śpiewa o potędze miłości. Tylko Faun-Pan przestrzega przed oddaniem się jej zupełnem:

„Zczeźnie, skona, albo, co gorzej jest, sflaczeje
W duszy, kto wszystkie swe nadzieje,
Kto wszystkie żądze swe powierzy
Rękom miłości“...

W obrazie trzecim lud obwołuje Marchołta królem, zrzuciwszy z tronu jego teścia. Tłum wierzy, że Marchołt sprowadzi na ziemię nową, szczęśliwą erę, że zniesie różnicę stanów, że wszystkim sprawi „nowe surduty, nowe kamizelki, nowe buty“; — ale wnet następuje rozczarowanie, bo Marchołt jest — przy całej swojej „sprośności“ i rubaszności — idealistą, nie chce dbać o ciała ludzkie, tylko o ducha. On chce „wymieść wszelki kłam“ ze swojego państwa i dlatego wypędza swoją żonę razem z dziećmi, co wywołuje oburzenie ludu, któremu nie podobają się także jego zuchwałe i dziwne plany reformatorskie, jego porywy despotyczne, który go też w tym samym jeszcze dniu pozbawia władzy i wygania.

W obrazie czwartym widzimy Marchołta, mieszkającego w „zwykłej, skromnej izbie“ i pracującego nad dziełem „O niedoli ludzkiej“. Przychodzą „Bracia pogrzebowi“ i przepowiadają mu bliską śmierć, ale on temu nie wierzy, cociaż czuje, że siły go opuszczają, że jego „siedlisko mocno schudło i opadło“. Próbuje skończyć swą rzecz i pisze o Jakóbie patrjarsze, któremu się zdało, że „po drabinie do nieba lazł, ale lazły za nim złe potęgi“ i spadł z pod samego szczytu. Potem mocował się z aniołem. I oto zdaje się Marchołtowi, że i on mocuje się z aniołem, czy też z samym Panem Bogiem. Na końcu zjawia się faun i zabija go. „Kto mnie zmógł?“ pyta konający. Na to odpowiada mu gospodyni:

„Oczy pan ku Bogu wznieś —
Bóg — sam Bóg!“...

Ostatnie zaś słowa Marchołta są:

„I owszem — Bóg
Zrozumie to każdy Grześ“.

W recenzji Marchołta, którą zamieścił p. Edwin Jędrkiewicz w nrze 316 „Słowa Polskiego“ (z d. 10 lipca r. b.), przeczytaliśmy ze zdumieniem taką pochwałę tego zakończenia:

„Tym krzykiem, klasycznie zamykającym żywot „grubego a sprośnego“ Marchołta — krzykiem, który w swej stylizacji nie prędko znajdzie coś sobie równego — kończy się czwarta i ostatnia część Marchołta — „walka Jakóba z Aniołem, czyli śmierć Marchołta“. W tej walce z aniołem — a zwłaszcza w jej zakończeniu — skonkretyzowana jest tylko w plastyczny kształt, w najdobitniejszą i najpełniejszą formę owa myśl, że zło jest istotną częścią składową wyższego porządku moralnego świata. Druga zaś przesłanka uczuciowa: głębokie religijne uczucie dla tego wyższego, boskiego porządku świata — zawarta jest implicite w istocie samego Marchołta, w charakterze tej jego przedziwnej i przedziwnie naiwnej żywiołowości, będącej sama przez się modlitwą żywiołu do Bóstwa. Do bezpośredniej, pozytywnej wypowiedzi mało dla niej zostaje miejsca w zgroteskowanych formach „Marchołta“, wyjąwszy przecudne, głęboko, najgłębiej wzruszające ustępy w monologach umierającego Marchołta, tak przypominające tonem „Księgę Ubogich“. I zdaje mi się, że nie z logicznego ujęcia rzeczy, ale właśnie z głębi tego religijnego uczucia, oddającego i poddającego się całkowicie owemu wyższemu porządkowi świata — pochodzi wiara i przekonanie Kasprowicza, że zło jest jednym z jego przejawów itd“.

A więc to powiedzenie tak płytkie i trywialne, tak nic nie mówiące (które zresztą powtarza się w „Marchołcie" kilkanaście razy), wydaje się szan. Recenzentowi klasycznem i wzniosłem! Wątpimy jednak bardzo, czy wielu zgodzi się na jego zdanie; — chyba tylko ci, którzy sądzą, że dzieła tak genjalnego poety, jakim jest Kasprowicz, trzeba tylko podziwiać, nie poddając ich rozbiorowi krytycznemu. A przecież nie brak tu rzeczy, które zniewalają do krytyki, I tak pofolgował autor zanadto swemu upodobaniu w naturalizmie, kiedy np. pisze (na str. 206):

„...na to tanie szumu — drumu,
którym przywykł ludzki świat
swoje własne witać łajno,
taki szczęśliw, taki rad,
że i on też krztynę tworzy!"

Albo (str. 235):

„Ugrząz w gównie,
chcący ludek wywieść z gówna!"

Albo takie sprośne gadanie Marchołta:

„Mam dziewuszkę
a z dziewuszką na poduszkę" itd. (str. 277).

Gdzieindziej wkłada autor Marchołtowi w usta — niewiedzieć na co — słowa ludowej piosnki niemieckiej:

„Fischerin, du kleene
Lass mich net alleene" (str. 278).

Sądzimy, że i największy wielbiciel Kasprowicza nie będzie zachwycał się temi rzeczami.

Ale i cała kompozycja dzieła musi wywołać zarzuty bardzo poważne: charakterystyce osób nie dostaje pogłębienia psychologicznego, pełno tu nieprawdopodobieństw i pomysłów przypominających szopkę: ten król, tańczący z akuszerką, ta królewna, oddająca się faunowi, a potem Marchołtowi, te „panny leśne", ci ministrowie i radcy, to królestwo Marchołta, trwające ledwie godzinę, to zabicie bohatera przez fauna, który jest uosobieniem złego pierwiastka, panującego na świecie, a wydaje się Marchołtowi Bogiem, to wszystko są szczegóły, których nie można n. zd. zaliczyć do zalet utworu.

Z drugiej jednak strony są w nim także pomysły, obrazy i wiersze, którym przyznajemy jak najchętniej wyższą wartość poetyczną; por. np. str. 76, 85, 275. Sama postać Marchołta jest pełna życia i siły żywiołowej. Figury wprowadzonych przez poetę rzemieślników i innych obywateli przemądrze politykujących są pełne wybornego komizmu. Wo-

góle są tu piękności, które każą zaliczyć dzieło pomimo licznych jego stron słabych do najwybitniejszych utworów doby najnowszej. Ale po tem, cośmy powiedzieli wyżej, nie potrzebujemy już chyba dodawać, że nie jest to lektura dla młodzieży. *X. A. P.*

Wilhelm Pichler. Katechesen 2-tes Bdchen. Wien 1919. 8° VI i 149 str. Cena kor. 11. W pierwszym tomiku tych nowych swoich katechez, zastosowanych do jego „Katholisches Religionsbüchlein", dał ten wybitny katecholog wiedeński najpierw przyczynek do teorji nauki religji na najniższym stopniu, a następnie szereg katechez o patrjarchach i ludzie izraelskim, a wreszcie plany lekcyjne. W drugim tomiku opowiada o dziecięctwie P. Jezusa i o życiu Jego publicznem. Katechezy te odznaczają się jasnością, prostotą, powagą i namaszczeniem. Dlatego uważamy je za bardzo godne polecenia. *P.*

Der Kampf um die neue Kunst. Von **Josef Kreitmaier** S. J. (Flugschriften der „Stimmen der Zeit". 17. Heft.) 8° (34 str.), Freiburg i. Br. 1920, Herder, brosz. M. 1.50 i dodatki księgarskie.

Autor zwraca uwagę na związek, zachodzący pomiędzy ekspresjonizmem „nowej sztuki", a szerzącymi się dzisiaj bałamutnymi poglądami na świat i życie. Całkiem spokojnie i objektywnie ocenia on dziwaczne pomysły malarzy i rzeźbiarzy współczesnych, którzy spoglądają z góry na mistrzów dawniejszych, chociaż nic nie potrafią stworzyć, coby dało się porównać z dziełami tamtych. Nie chcą oni odtwarzać form, które widzą w przyrodzie — jak czynili ich poprzednicy, — lecz robią je symbolami czegoś duchowego, nie uchwytnego. Nie kuszą się bynajmniej o doskonałość rysunku i barwy, ale raczej upatrują swój ideał w sztuce ludów dzikich i lubią chodzić drogami, które im wskazał Gauguin (Pechstein, Nolde i wielu innych). Autor jest widocznie znawcą sztuki i zwiedza jej wystawy, czyta pisma ekspresjonistów i dlatego mógł zebrać w niewielkiej broszurze swojej dużo spostrzeżeń ciekawych. Nie uwzględnia jednak artystów polskich tego kierunku, bo ich nie zna prawdopodobnie albo też nie przyznaje ich usiłowaniom żadnego znaczenia. A przecież mamy i u nas kilkunastu reprezentantów tej nowej sztuki, której patronuje „Zdrój" Przybyszewskiego i niedawno można było podziwiać we Lwowie na wystawie „Formistów" dziwaczne „kompozycje przewrotne" pp. Ign. St. Witkiewicza, Hryńkiewicza, Zamojskiego, Chwistka, Niesiołowskiego i innych, — budzące tylko uśmiech politowania. *X. A. P.*

Franz Esser S. I. Der stille Klausner im Tabernakel. 1—4 Tausend 12⁰ (VIII. i 172 str.) Freiburg i. Br. 1920. Herder. Cena 6 m. opr. 8·50 m. i dodatki.

Książeczka ta odznacza się miłą świeżością i oryginalnością w przedstawieniu starego tematu. Stylem swobodnej pogadanki poucza autor o Najśw. Sakramencie, zbija błędy heretyków i rozprasza wątpliwości, które mogą nasunąć się przed tabernaculum i duszom pobożnym. XX. Katecheci znajdą tu wyborny materjał do medytacji i do egzort na ten temat. *X. P.*

Mein Meister Rupertus. Ein Mönchsleben aus dem zwölften Jahrhundert. Von Odilo Wolff O. S. B. Mit 19 Bildern. 8⁰ (VIII. i 202 str.) Freiburg i. Br. 1920, Herder. M. 6.80; opr. M. 8.80 i dodatki.

Posłyszawszy w nowicjacie o swoim rodaku Rupercie jako ozdobie 12-go wieku i znalazłszy potem w bibljotece klasztornej dzieła tego głębokiego egzegety i mistyka, studjował autor przez całe lata jego pisma a zwłaszcza główne jego dzieło o Trójcy Przenajśw. W książce tej opowiada z serdeczną miłością cały jego żywot i streszcza jego myśli, odpierając zarzuty, które odezwały się z różnych stron przeciw Rupertowi i klasztorom wogóle. Książka to budująca i godna czytania, rzucająca dużo światła w „ciemności średniowiecza“. *X. P.*

Die Seele der Schularbeit. Von Viktor Hugger S. J. (Flugschriften der „Stimmen der Zeit“. 16 Heft.) 8⁰ (18 str.) Freiburg i. Br. 1920, Herder. brosz. M. 1. i dodatki księgarskie.

Jasno, logicznie i bardzo treściwie dowodzi autor, że „duszą pracy szkolnej“ jest religja i że nauczyciele nie mogą dobrze spełniać swego szczytnego zadania, jeżeli tej prawdy nie chcą zrozumiać, jeżeli sami w swoim sposobie myślenia i działania nie poddają się oświecającemu i umacniającemu wpływowi religji Chrystusowej. X. *P.*

Z belletrystyki.

G. Daniłowski. Tętent. Powieść współczesna. Kraków. Czernecki (bez daty). Stron 139. Cena 30 mp.

Treścią tego utworu jest miłość cudzołożna, odmalowana barwami jaskrawemi, a przedstawiona jako rzecz całkiem niewinna. Powiastka należy do tej literatury rozrywkowej, przed

którą krytyka powinna p r z e s t r z e g a ć rodziców i wychowawców.

Ten sam. P a l t o c i k. Warszawa-Kraków. Czernecki (bez daty). Stron 25. Cena 13 mp.

Czytamy tu o kobiecie bardzo ubogiej, która nie może zdobyć się na sprawienie ukochanemu synkowi swojemu płaszczyka, a kiedy chłopiec otrzymuje w darze od pewnej osoby miłosiernej bardzo porządny „paletocik“, musi ten iść zaraz na sprzedaż.

Niema w tej powiastce nic niemoralnego, — owszem treść jej może pobudzić niejednego czytelnika do udzielenia wsparcia jakiejś ubogiej rodzinie; — ale ze stanowiska estetycznego trzeba wytknąć autorowi nieszlachetny i przykre czyniący wrażenie realizm w przedstawieniu rzeczy. *X. P.*

Emma Jeleńska: „Kobieto, puchu marny...“ Powieść. 1909. Warszawa.

Treść nie bogata. Lola Jurczyńska, lekkoduch, wychodzi za hr. Konrada Kalinieckiego. On widzi jej braki, chciałby ją podnieść do swego poziomu duchowego, ale to się nie udaje. Ona go zdradza, a on kończy samobójstwem.

Lola jest odstraszającym przykładem złego i niemądrego wychowania dziewcząt. Autorka daje wyraźnie poznać, jakim powinien być ideał kobiety, jakie cele poważnie pojętego małżeństwa, — ale pozwala sobie na dygresye, których tolerować nie można, I tak: dość wyraźnie broni miłości „wolnej“ i występuje przeciw instytucyi małżeństwa.

Bardzo niestosowne jest porównanie mulieris gravidae do — monstrancyi (str. 130.) Wprowadza księdza, proboszcza, jako przedstawiciela duchowieństwa, ale tylko od gadania i groźby z ambony.

Stanisław Przybyszewski: „D z i e c i s z a t a n a“.

D o g m a t e m dla „dzieci szatana“: zniszczenie „na to, żeby niszczyć“. B o g i e m dla każdego z nich: on sam. Takim: Gordon, Ostap, Wroński, Botko. — Umawiają się, by okraść kasę miejską, podpalić ratusz. Pali się ratusz, a w ratuszu ginie podpalacz, Stefan Wroński, wierne „dziecko szatana“, uczeń Gordona. Ostap wiesza się na haku od lampy w pracowni Gordona.

Pożarem fabryki Schnittlera wywołana nędza robotników, — ruchawki uliczne, — demolowanie sklepów etc.

Całość: wstrętna i przewrotna, ale opisu scen lubieżnych niema.

M. Rodziewiczówna: „Między ustami a brzegiem puharu“. 1890.

Hr. Croy-Dülmen, bogacz, pierwszy między „złotą młodzieżą“ berlińską, poznaje przypadkowo Polkę, p. Jadzię Chrząstkowską, wychowankę jego babki (po matce). Po wielu trudnościach hrabia zdobywa Jadzię. „Szwab“ się odmienia, osiada na polskiej ziemi, polska dusza odradza się w nim z popiołów.

Każdemu inteligentnemu dziewczęciu polskiemu można postawić za wzór bohaterkę tego szkicu powieściowego, — gdyby zechciały czytać te „starsze“ książki zamiast „nowszych“ — brudów...

Jerzy Żuławski: „Ijola“. Dramat w czterech aktach z czasów średniowiecza. Str. 234. — 1905.

Kasztelan Kuno — księżniczka Maruna. On stary poszedł na boje, ona młodziutka sny swoje przędzie. — Lunatyczką jest; po gzymsie schodzi nocami do celi rzeźbiarza i z nim rozmawia. Arno, zachwycony nią, daje jej imię Ijola (prawdziwego nie znał) i uwiecznia jej rysy w posągu Wniebowziętej.

Maruna, oskarżona niesłusznie o wiarołomstwo i czary, idzie na męki i śmierć.

W całym dramacie draźni tylko jedno trywialne wyrażenie kasztelana o żonie na str. 111. — Silne wrażenie wywołuje śpiew mnichów (poranny):

„Panno święta,
niepojęta,
śliczna Gwiazdo zaranna!
i t. d. (Melodya: „Omni die“...)

X. Z. Chełmicki „Requiescat in pace“. Warszawa 1899.

Wybitny prałat warszawski skreślił w tem opowiadaniu bardzo ujmująco pracę gorliwego kapłana na bardzo zaniedbanej parafii, zgangrenowanej przez pijaństwo, „zawojowanej“ przez żyda-karczmarza, obojętnej względem P. Boga i duchowieństwa. Praca to była ciężka, walka uciążliwa, ale uwieńczona skutkiem najpomyślniejszym, bo prowadzona wytrwale, a z bezgraniczną miłością. Bohaterem tej dłuższej noweli jest X. Anzelm Malutki. — Szkoda, że opowiadanie to tak mało znane wśród nas. Nie spotkałem go u żadnego znajomego mi proboszcza.

Lud chętnie będzie czytać to barwne opowiadanie i nabierze więcej przywiązania i ufności do czarnej sukni duchownej.

Bardzo się nadaje na podarunki. — Do nabycia w księgarni Gebethnera, Kraków, Rynek gł.

Karol Hubert Rostworowski: „Kajus Cezar Kaligula“, dramat w czterech aktach. Kraków 1917. Krzyżanowski, stron 159.

Treścią dramatu spisek na życie Kaliguli. — Czasami ma się wrażenie, że autor powinien trochę popchnąć akcyę. Charakterystyka osób trafna. Te, które przesuwają się przez scenę, ilustrują nam stan duchowy ówczesnego społeczeństwa wcale dobrze.

Wacław S. Sieroszewski: „W szponach“ 1918. Warszawa—Kraków.

Najnowszy utwór b. adjutanta b. brygadyera Piłsudskiego, Część I-a większego cyklu „Ku Wolności“. Rzecz dzieje się kilka lat przed wojną obecną w Warszawie. Bohater: Józef Gawar, syn stróża kamienicznego, uczeń VII. kl. gimn., prezes kółka samokształcenia młodzieży niepodległościowej. Aresztowany, dręczony głodem, przerzucany z jednego więzienia do drugiego. Na tem tle: sylwetki rosyjskich czynowników, — gehenny życia więziennego, — ohydy zwyrodnienia jednostek z „bojówki“.

Józef Gawar, wywieziony do Moskwy, a stamtąd etapem na daleką północ Syberyi.

Niepotrzebnie tylko dwa razy potrąca autor straszaka średniowiecznej inkwizycyi w bardzo przykrem (choć migawkowem) oświetleniu. *X. H. W.*

Nominacje i wiadomości osobiste.

Zamianowani XX.: Dr. Bronisław Żongołłowicz, były prof. akad. duch. w Petersburgu, profesorem zwycz. prawa kan. w uniw. wileńskim; — X. Józef Archutowski, mag. teol., wykładający dotąd w uniw. lubelskim, profesorem nadzwycz. studjum bibl. St. Zak. w uniw. Jagiel. (w miejsce X. dra Korzonkiewicza, który został kanonikiem gremialnym); — Julian Beck, były adm. w Samborze, stałym kat. 4 kl. szk. m. tamże; — Franciszek Witeszczak i Jakób Mikoś stałymi kat. szk. wydz. w Sanoku; — Józef Michałkowski, kat. szk. powsz. w Chyrowie, tymczasowym kat. szk. wydz. żeńskiej w Krośnie; — Henryk Weryński, b. kat. w Szczawnicy, katechetą szk. powsz. w Pilznie; — Jakób Szypuła, kat. gimn. w Brzozowie, katechetą I. gimn. w Przemyślu; — Wacław Przybylski, wik. w Sokołowie, kat. 5 kl. szk. m. tamże; — Jan Mieczysławski, katechetą w Ropczycach.

Inst. kan. na prob. w Krościenku nad Dun. otrzymał X. Jan Bączyński, kat. szk. powsz. w Pilznie; — na prob. w Klimkówce X. Wincenty Grzyb, kat. w Rymanowie; — Stanisław Stępień, kat. w Przeworsku, na prob. w Majdanie kołbusz.

Veniam docendi w zakresie nauk społecznych (chrześcijańskich) otrzymał na uniw. Jagiel. X. dr. Antoni Szymański, prof. uniw. lubelskiego.

Urlop roczny dla dalszych studjów otrzymali: X. dr. Mikołaj Więcław, koop. przy kośc. św. Magdaleny we Lwowie i X. dr. Jan Czuj, kat. gimn. w Brzesku.

Zmarli: X. Stanisław Woźny, kat w Sokołowie, w 37 r. życia a 13 r. kapł.

Śmiercią bohaterską poległ 14. sierpnia r. b. pod Radzyminem, idąc z krzyżem w ręku na czele oddziału armji ochotniczej X. Igmnacy Skorupka, prefekt szkół warszawskich i notarjusz Kurji Metrop., ur. r. 1893, wyśw. r. 1916. Cześć jego pamięci!

Od Redakcji.

Ciągły wzrost kosztów papieru i druku nie pozwala nam dotąd niestety wydawać naszego Miesięcznika w dawniejszej objętości. Zeszyt następny, za październik i listopad, wyjdzie około połowy listopada. Prosimy o rychłe wyrównanie zaległości, bo wielu z Czcig. Prenumeretorów nie uiściło jeszcze przedpłaty za r. b. Wielu czeka na przypomnienie, — pisanie zaś kartek przypominających zabiera nam dużo drogiego czasu (nie mówiąc już o kosztach). Jeżeli jaki zeszyt nie dojdzie prosimy reklamować.

